

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 2); półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz politem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

PRACA DZIECI.

O udziale dzieci w pracy domowej i o znaczeniu tego udziału w ogóle, — mało się mówi w literaturze pedagogicznej.

Nauka w szkole oderwała dziecko od rodziny... rodzice przestali żądać od dzieci dokonywania jakichkolwiek robót pobocznych.

W ostatnich czasach zagranicą doszli do przekonania, że zupełne oddanie się dziecka szkole nie jest zjawiskiem dodatnim i że jest ono niesprawiedliwym zarówno w stosunku do rodziny, jak do samego dziecka. Z tego też powodu w Ameryce rozpoczęto w szkołach naukę gotowania, ogrodnictwa i w ogóle pracy ręcznej.

Rzecz prosta, wprowadzenie do programu nauki szkolnej gospodarstwa domowego i pracy ręcznej natchnie wychowawców i wychowanie tych szkół szacunkiem i zamiłowaniem do pracy ręcznej w ogóle, do gospodarstwa domowego zaś w szczególności.

Na to jednak, aby nauka szkolna nie ginęła bez śladu, trzeba, aby rodzina umiała spożytkować praktycznie nabywane przez działkę w szkole wiadomości i aby rozwijała zdolności wrodzone.

W razie umiejętnego korzystania z pracy dzieci, mogą one z prawdziwym pożytkiem krzątać się około ogniska rodzinnego, a przy cierpliwości kierowników powierzonych im robót, wcale nie będą „jedynie psuć i przeszkadzać“, jak mówią niektóre matki niecierpliwego usposobienia.

Praktyczni Amerykanie przyuczając powoli dzieci do pracy i rozwijając w nich uczucie odpowiedzialności, uzyskali to, że obecnie liczne rodziny mogą obywać się zupełnie bez służby.

Amerykańskie dzieci już prawie od chwili stawiania pierwszych kroków przyzwyczajają się pracować samodzielnie.

Pragnąc jednak przyzwyczaić dzieci do samodzielności, należy pamiętać zawsze o jednym, a mianowicie, że wszystko trzeba objaśnić szczegółowo i pokazać cierpliwie. Nie należy też, naturalnie, nużyć dzieci robotą, nawet wtedy, gdy z własnej woli pracują nadto pilnie z widoczną szkodą dla ustroju fizycznego organizmu.

Nawet 4-letnie dzieci mogą już znaleźć zajęcie w gospodarstwie domowym (na wsi szczególnie), a mianowicie przy polewaniu kwiatków, pieleniu chwastów i t. p.

U nas (i to tylko w rodzinach mniej zamożnych) jeśli czasem dziewczynki pomagają matkom w gospodarstwie domowym, to chłopcy już pod żadnym pozorem nie przyjmują udziału w pracy około gospodarstwa domowego; przeciwnie, wszyscy domownicy im usługują.

W Ameryce jest zupełnie inaczej. Tam syn zamożnych rodziców sam musi posłać swoje łóżko, umyć podłogę w swym pokoju, pościierać w nim kurze i w ogóle „sprzątnąć.“

Naturalnie byłoby barbarzyństwem wymagać tego wszystkiego od dzieci przy panującym obecnie systemie nauczania, kiedy tracąc niepożytecznie 5—6 godzin dziennie w szkole, dziecko jeszcze 3—4 godziny poświęcić musi na odrabianie lekcji w domu. Ale za to w święta (których jest aż za wiele) i podczas feryi letnich, spełnianie tych niezłożonych posług domowych przez działkę szkolną jest najzupełniej możliwe i ze wszelki miar pożądane.

Kuchnie szkolne bardzo dodatnio wpłynęły (w szkołach zagranicznych, naturalnie — bo u nas ich niema) na obudzenie w uczących się dziewczynkach chęci i zamiłowania do gotowania i gospodarstwa w ogóle.

Obudzenie zaś tej chęci i tego zamiłowania jest rzeczą tem łatwiejszą, że jest ona wrodzona dziewczynkom, dla których po lalce najmilszą zabawką, jest blacha kuchenna.

Za granicą w ogóle, nawet u rodzin bogatych ilość służby jest bardzo mała, w sferach zaś średnio zamożnych wyrostki-chłopcy znakomicie usługują przy stole i umiejętnie wykonywują obowiązki pokojowych.

W Anglii wszystkie mięsa, jako to: rost-beuf, szynka, cielęcina, baranina i t. d. podawane są na stół nie pokrajane; kraje je zwykle gospodarz, a kraje według wszelkich prawideł sztuki kucharskiej, czemu przyglądają się i uczą obecni chłopcy synowie.

Dorastający synowie w rodzinach belgijskich i angielskich w ogóle wykonywają wiele robót, wchodzących w zakres gospodarstwa domowego, przynoszą nawet koks i drzewo do palenia w piecu!

Ma to przedewszystkiem ten wpływ dodatni, że wspólna praca rozwija poczucie wspólnoty i budzi instynkty jedności, solidarności i karności rodzinnej.

Po za tem udział dzieci w pracach domowych jest najlepszym lekarstwem na wzmagający się w ostatnich czasach t. zw. „egoizm dziecienny“, wyrażający się w bezwzględnej traktowaniu służby i stawianiu nieuzasadnionych wygórowanych żądań rodzicom.

Zapoznanie się dziecka z zajęciami domowymi wywołuje w niezsutych duszach szlachetną chęć ulżenia swym rodzicom przy dźwiganii brzemienia obowiązków.

Udział dzieci w pracy około ogniska rodzinnego, pożyteczny jest i dlatego jeszcze, że rozwija w nich pojętność, zręczność i praktyczność.

Powoli, naturalnie, dzieci mogą przechodzić od robót najpierwotniejszych do najbardziej złożonych (np. prowadzenia rachunko-

wości gospodarczej, na którym to punkcie gospodarstwa nasze szwankują bardzo).

Rodzice posiadający kawałek ogródka, powinni zachęcać dzieci do pracy nad nim, gdyż robota na powietrzu wzmacnia organizm, a obcowanie z przyrodą uszlachetnia duszę.

W domach miejskich chłopcy mogą znow dokonywać wielu robót, do spełnienia których potrzebni są tapiceryzy i stolarze. Dzieci, które tak lubią młotki, gwoździe, dłuta i obcegi, chętnie podejmą się tego rodzaju zajęć.

W ogóle poszanowanie i zamiłowanie pracy domowej należy zaszczeniać dzieciom już w najwcześniejszej młodości.

Wyda to dobroczynne owoce bez względu na to, jaką będzie przyszłość dziecka,— czy będzie ono pracowało na chleb fizycznie, czy umysłowo: człowiek przyzwyczajony do pracy od dziecka, w każdej okoliczności potrafi dać sobie radę.

Praktyczność i samodzielność — oto dwa główne warunki, potrzebne do osiągnięcia powodzenia w trudnej walce o byt.

P. W.



Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Wszystkiego nie trzeba mówić mężowi,— pół żartem, mimo to z najgłębszym przekonaniem i z własnego doświadczenia, powiedziała mamam Dobrojewska swojej jedyńaczce, kiedy jej dawała nie tyle moralne,

ile praktyczne rady w sprawach małżeńskiej taktyki.

Wówczas przyjmowała to Misia z uśmiechem, przyrzekając sobie w duszy, że nie będzie miała nigdy żadnej tajemnicy przed Henrykiem, a teraz ani się spostrzegła, jak prędko, prawie bez jej woli wytworzyła się pomiędzy nimi sytuacja, w której musiała coś ukrywać, popępiać codziennie coś, do czego się przed mężem nie przyznawała.

To był taki drobiazg, takie przestępstwo maleńkie, niewinne, nieszkodliwe, za które jako dziecko co najwięcej dostałaby klapsa, a jednak w danych okolicznościach nabierało ono wyjątkowej wagi i było w jej przekonaniu pierwszym grzechem przeciw zaufaniu w miłości.

— Dlaczego ja nie mam się przyznać, że czytam w dalszym ciągu powieść Julka? — mówiła sobie; — dlaczego ja to robię ukradkiem, jakby co złego?

Zarumieniła się sama przed sobą, ale jednak przyszło jej na myśl:

— A dlaczego i on to robi w tajemnicy przedemną?... czemu nie jest zupełnie szczery, czemu unika nawet rozmowy o tem i patrzy na mnie z pod oka, jak gdyby mimo wszystko nie dowierzał i podejrzewał mnie?... Myśli, że tego nie uważam.

Bardzo czyste i prawe natury mają swoją drażliwość na punkcie zaufania, które im się należy, swoją ambicję jakąś, wygórowaną nawet, która czuła się boleśnie dotkniętą, gdy się spotkają choćby z cieniem niewiary i zwątpienia.

Doznawała tego i ona w stosunku z mężem.

— Wołałabym, aby mi zrobił scenę zadości, jaką ludzie przypuszczają, plotkując o naszym pożyciu małżeńskim; niechby otwarcie, jawnie zrobił mi wyrzut i powiedział raz, co mu się nie podoba, czego chce wiedzieć; wołałabym wszystko inne, aniżeli

te jego badawcze spojrzenia, to milczenie, ten spokój udawany, kiedy jesteśmy sam-na-sam, te jego podejrzone myśli i dwuznaczne słowa, których połowy nie dopowiada przez delikatność czy ostrożność. Dlaczego on nie dowierza?... co on przypuszcza?...

Takimi pytaniami zaprzętało się jej serce, gdy rozmyślała nad tą ledwie dostrzeżalną zmianą, którą raczej instynktem kobiecym odgadywała w mężu, niż z pewnych, wyraźnych rysów rozpoznać mogła.

Podchodziła do niego w takich chwilach, składała mu główkę na ramieniu, jakby w nim szukała oparcia dla zachwianej duszy swojej, jak gdyby dopraszała się sama od niego zaprzeczenia wszystkich złych myśli, które jej spokój mąciły i była smutną.

— Co ci jest? — pytał wtedy i obejmował ją ramieniem, spoglądając na jej twarzyczkę, jakimś cieniem powleczoneą.

— Nic,— odpowiadała cichym głosem,— pocałuj mnie!

Składał usta na jej czole, na jej oczach zamkniętych, ale wydawało jej się coraz częściej, że te pocałunki nie były tak szczere i tak gorące, jak w pierwszych dniach ich pożycia; nie odczuwała w nich tej rozkosznej miłosnej pieśczoży, która ją tak niedawno jeszcze tajemnym dreszczem przejmowała.

Przytulał ją do siebie, przemawiał najczulszymi wyrazami, a jednak było coś innego w tych samych słowach, w uścisku, w pieśczożocie,— coś, co odzywało się i w niej jakimś tonem przytłumionym, jakimś ledwie uchwytnym rozdzwiękiem.

Próbowała wmawiać w siebie, że to przywidzenie; udawała, podobnie, jak Henryk, większą swobodę, nawet wysiloną wesołość, śmiała się, pobudzając go do śmiechu, aby potem zaciąć usta, zmarszczyć zachmurzo-

POGAWĘDKA.

VII.

Rok szkolny zakończony, wakacje rozpoczęte, młodzież oczekują wywczasy, rozrywki i wycieczki. Mają one wzmacnić młode ciała, nakarmić wrażeniami umysły i serca, być nową fazą w rozkwicie młodego ducha. Każdy spędzi te kilka błogich miesięcy, jak go stać na to: jedni w bogatych letniskach, drudzy w majątkach swoich rodziców, inni gdzieś u krewnych, lub na kondycjach, jeszcze inni na tym samym dusznym bruku miejskim, z którego nadaremnie wzdychać będą ku zieleni pól, ochłodzie borów, urokom wsi...

Z racji tych wywczasów wakacyjnych mówiono i pisano nieraz, a i obecnie mówią i piszą o wycieczkach młodzieży po kraju, pod egidą szkół, pod okiem starszych, lub, jak kto może. Wycieczki takie już zresztą były i udawały się dobrze, tylko niekiedy wypadały dość kosztownie. Zresztą do-

tań nie objęto ich żadnym systemem, więc są luźne, dowolne, a przeto można radzić szczerze nad nimi i wtrącać swoje „trzy grosze.“ Właśnie mam takie „trzy grosze“ w zanadrzu moich wspomnień i chcę je wydobyć na światło dzienne. Może kogo pouczy, zajmie i zachęci do naśladowania...

Było to, dawno—ot, lat kilkanaście temu—takie lato jak dzisiaj, takie stadko srebrnych obłoków na błękitie, taka świeża zieleń łąk i lasów, taka ożywcza woń wsi, czar natury, ponęta ziemi ukwieconej... Było jeszcze więcej, bo młodość w sercach, zdrowie w kościach, a w umysłach głód wrażeń i polotów.

Czterech nas kolegów ze szkolnej ławy znalazło się w blizkiem sąsiedztwie w okolicach Suchedniowa. Spotkaliśmy się w Nieklaniu, nagadali o nudzie wakacyjnej i—urządzili wycieczkę do Ojcowa. Finanse nasze były bardzo skromne. Jeden miał w zapasie około dwóch rubli, inny jeszcze mniej, trzeci nadzieję „wydębienia“ czegoś od mateczki, a ja okrągłe półtora rubla. Za dwa dni zjechaliliśmy się ponownie: z podzielowanymi butami, troszką bielizny i żywności w zawiniątkach,

biletami wolnej jazdy z Olkusza do Nieklania i — ruszyliśmy w drogę.

Naszkicowana marszruta miała prowadzić na Suchedniów, S-ty Krzyż, Kielce i Chęciny, a dalej Jędrzejów, Miechów do Ojcowa, prześliczną szosą Krakowską, białą, jak kredda, i tem więcej malowniczo wijącą się wśród jasnej zieleni łąk nad Nidą lub poważnego szmaragdu zalesionych gór.

Przeszedłszy Suchedniów, stanęliśmy pod wieczór w Starej Słupi, leżącej u stóp gór Świętokrzyskich. Tyle to lat temu, a pamiętam i ową drogę wijącą się pod górę przez stary las od Suchedniowa, i jakąś kapliczkę odwieczną na polanie ugorskiej, i na skraju lasu wspaniałe krajobraz gór Świętokrzyskich z majestatycznymi wieżami klasztoru, i stary Bodzentyn z ruinami zamku, i cichą Słupię w dolinie i bezmiar pól Świętokrzyskich, „wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem...“ Pamiętam te olbrzymie kłosa pszeniczne, grube i w ziarno bogate, a tak wysokim murem rosnące, że w ścieżynach między zbożami ginęły marne postacie chłopięce, niby wśród drzew leśnych...

Pierwszy nocleg był w Słupi. Jakiś pocz-

ne czoło, gdy się rozstała z mężem i mówić sobie:

— Nie, to nie to!... to nie to!... Co się stało, co się dzieje z nami obojgiem?...

Nie wiedziała, że taką samą walkę z sobą przechodził Henryk, że jemu także podobne refleksje napływały na myśl i że w tej wzajemnej obserwacji z urojonem założeniem oboje wklali się w drobną, pajęczą siatkę uprzedzeń i wysnuwali z nich wnioski coraz gorsze i dotkliwsze.

Przypadek te nici supłał jeszcze w węzłki drażniące, jak gdyby igrał z ich spokojem i szczęściem.

Któregoś dnia na zwykłym miejscu przy herbacie zabrakło świeżego numeru „Gazety porannej.“

Oboje zauważyli to od razu, chociaż nie dali tego poznać po sobie, że rzucają ciekawie okiem w stronę stolika i że ich brak dalszego ciągu powieści zadziwia.

— Nie było czego od starszej pani? — spytała służącego po śniadaniu, gdy Henryk wyszedł do swego pokoju.

Przy nim nie byłaby się odważyła zadać to pytanie lokajowi.

Okazało się, że Dobrojewska dnia tego „Gazety“ nie przysłała.

W tej samej prawie chwili dzwonek wezwał Wojciecha do gabinetu Henryka.

— Czy niema jeszcze dzisiejszej „Gazety“? — pytał Taniecki.

— A niema; nie wiem nawet, co to znaczy. Jaśnie pani także o to zapytywała, — odpowiedział służący, nie domyślając się wrażenia, jakie te słowa sprawią na jaśnie panu. — Może posłać do kiosku?

— Nie trzeba; nie pilnego. Zapewne przyszlą później.

Po wyjściu służącego Henrykowi twarz się nagle zmieniła i czerwona pręga wystąpiła mu na czoło.

— Zapytywała! — pomyślał, — a więc także czyta w tajemnicy przede mną!

I to odkrycie drasnęło mu serce, jak cieniem kolącym.

Po południu mamą Dobrojewska przywiozła sama dalszy ciąg powieści Julka, z miną zafrasowaną, tajemniczą, niespokojną i zwierzyła się córce, że była w prawdziwym kłopotcie, co zrobić z dzisiejszym numerem.

Nawet ona poznała się na tem, że scena opisana przez tego waryata Julia jest trochę za drażliwa do czytania przez męża w obecności żony.

— Proszę cię — szeptała po francuzku z przesadną dyskrecją, jak gdyby się obawiała, aby ściany przypadkiem nie podsłuchały, — on stracił zupełnie poczucie bon-ton'u. Co on tu dzisiaj wypisuje!... niestworzone rzeczy, jak cię kocham!... Ostatecznie, co sobie ludzie mogą pomyśleć! I tak przypuszczają, że pomiędzy wami był formalny romans. Daję ci słowo, że się dzisiaj tak zirrytowałam, jak jeszcze nigdy.

Misi zaczęło gwałtownie bić serce; powściągnęła się jednak i nie okazując zbyteźnego zajęcia, spytała na pozór obojętnie:

— O cóż chodzi?

Dobrojewska wcisnęła jej numer „Gazety“ do ręki.

— Zchowaj to i nie dawaj, broń Boże, Henriowi do przeczytania!... Tam przecież ze wszystkimi szczegółami jest opisane, jakście się w Natolinie całowali!...

Twarz Misi zapłonęła rumieńcem.

— Przecież to przechodzi wszelką miarę! — mówiła dalej tonem zgorszenia dobrze wychowanej kobiety Peppa; — prawda, czy nieprawda, ja w to nie wchodzę, jako matka, chociaż pozwolisz sobie powiedzieć, że jeżeli tak było, to miałam prawo to wiedzieć... Mimo wszystko mężczyźnie nie wolno być do tego stopnia niedyskretnym. Pre-

zesowa, Izio Pustopolski, ja, wszyscy jesteśmy oburzeni dzisiejszym numerem.

Misia machinalnie rozłożyła „Gazetę“ na kolanach i zapatrzyła się w przestrzeń, zająmując o obecności matki.

A więc stało się to, czego się najbardziej obawiała. Julek nie pominął żadnego szczegółu z ich stosunku, nawet tej jedynej drażliwej sceny, po której w swym panińskim pamiętniku zapisała krótkie, tajemnicze słowa: „Pocałunek mężczyzny może być podłością.“

Miała tę scenę tak żywo przed oczyma, jak gdyby to wczoraj było; nie potrzebowała czytać jego powieści, aby sobie uprzytomnić zdarzenie przez niego opisane.

Byli dnia tego w liczniejszem towarzystwie na wycieczce w Natolinie; dzień był upalny, słoneczny, wybrali się kilkoma powozami za miasto.

Chodzili po zacisznym, malowniczym opuszczonym parku, podczas gdy reszta osób zwiedzała pałac; on ją oprowadzał po cieniowych, ustronnych alejach, nazywał ją dryadą, rusalką, strzygą, przekomarzał się z nią, a swoim zwyczajem wtrącał nawiasy o swej miłości, deklamował urywki ze Slowackiego, Heinego i Musset'a, rzucał na przemian to iskry dowcipu, to poetyzował, to z Byronowską melancholią lub sarkazmem rozspytował paradoksy.

Była dnia tego w doskonałym humorze, podniecało ją słońce, dusząca woń kwiatów, przesycona blaskiem, wonią i tym dziwnym jakimś haszyszem natury, atmosfera ogrodu w letni, pogodny dzień na wsi.

Oczy jego zapalały się, jak fosfor przy zetknięciu z jej spojrzeciami, niekiedy czuła, że palą goręcej od słonecznych promieni.

Zartowała z niego a jednocześnie bała się czegoś, co było w jego oczach, w dotknięciu jego dłoni, która za często szukała

ciwy leśniczy, mający chatę u podnóża góry, uraczył nas mlekiem zsiadłem z kartoflami, dał spanie świetne na sianku w stodółce, nazajutrz zaprowadził na góry, pokazał stary kościół i klasztor, kilka wartkich potoków górskich, olbrzymiego węża wśród skał na stoku góry, wytłómaczył kierunek dalszej podróży i wyprawił w drogę...

Szliśmy po cztery mile na dobę, krokiem miarowym, z kilku wycieczkami po drodze. W południe spożywailiśmy po pół kwarty mleka i kawale chleba w chacie wieśniaczej, to samo na podwieczorek, a wieczorem, gdy słońce zabierało się do spania, a nasze nogi wzdychały do wypoczynku — szukaliśmy noclegu we wsi...

Pod Kielcami jest wioska i folwark, których miana nie pomnę. Dzierżawił je w owe czasy p. S. Tam dotarliśmy pod wieczór. Na ganku dworku siedział gospodarz z rodziną: żoną i dwoma dorodnymi podlotkami.

Uklon szarmaneki i oracya: czterech uczniów-turystów... Ojców... noc zapada... potrzeba noclegu... Gdyby tak żdźbło sianka w stodole... bylibyśmy wdzięczni dozgonnie.

Pocciwy szlagon uśmiechnął się pod wa-

sem, wypytał nieco o szczegóły podróży i... wprowadził do starego dworku na pogawędkę..! Nie upłynęła godzina, a na stole zjawił się olbrzymi półmisek ze stosem kurcząt, samowar buchający parą, biały chleb wiejski i masło... Jak to wszystko smakowało!

Po kolacyi... klawikord... Panienci zagrały na popis, potem mama jakiegoś walczyka, a my znów uklon szarmaneki... i dalej w płas...

Wyhasały się podlotki więcej, niż na wszystkich balach późniejszych, a gdy o północy dano znak na spoczynek, z miniek dziewczęcych widać było, że hasałyby do rana, że goście w mundurkach byli miłymi gośćmi, że wspomnienia tłuc się będą po serduszkach dziewczęcych i uczniowskich... że... at — zwyczajnie miłosa idylla pensjonarskich czasów...

Do ósmej rano chrapaliśmy na świeżem sianku, pokotem rozesłanem w pokoju i po dobrem śniadaniu ruszyli w drogę koło południa... Długo stały na ganku dwie postacie dziewczęce... długo oglądaliśmy się za gościnnym dworkiem... i długo pamiętali ten wieczór lipcowy... Ot! pamiętamy do dzisiaj...

W kilka godzin byliśmy w Kielcach, zwie-

dzili ich piękne pamiątki i osobliwości zarówno w świątyniach i gmachach publicznych, jak i w pobliskich fabrykach, oraz cichej a pełnej majestatu Karczówce. Najdłużej zatrzymała nas słynna miejscowość „Słowik“ nad Nidą, gdzie zarazem kąpiel odświeżyła młodych turystów lepiej, niż wszystkie z bani znane balsamy zdrowia i życia.

Oglądałem uroczy ten zakątek w kilkanaście lat potem i zdaje mi się, że poznawałem każdy zakręt Nidy wśród zielonej doliny, każdy szczegół przepyszego pejzażu wzgórz i borów, każdy powab tej ziemi pięknej, godnej poznania i — ukochania.

Noc spędziliśmy w Chęcinach, w stodole na plebanii, gdzie kapłan-zakonnik uraczył zgłodniałe żołądki skromną, ale obfitą wieczerzą.

Ledwie świt ruszyliśmy do ruin zamku Chęcińskiego i tu pierwszy raz dali folgę porywowi twórczości artystycznej... Ja skleilem na kolanie jakąś ponurą balladę o „Arynach“, kolega wyrysował ruiny, a wszyscy razem dumaliśmy wśród gruzów długo o straszonym zębie czasu i o... mowie ruin...

Znów dzień podróży, znów wieczorem kołatanie do plebanii w Jędrzejowie, gdzie sta-

jej ręki, w jego głosie i śmiechu, którym chwilami wybuchał.

Stanęli przed dwoma urnami z kamienia nieopodal pałacu i dowcipkowali na temat jego wynurzeń miłosnych.

— Ta urna na twoje łzy a tamta druga na popioły!—mówiła do niego.— Będę tu przyjeżdżała i dumala, jak Niobe zrozpaczona, gdy umrzesz z miłości.

— Dopóki nie zkamieniejesz, jak posąg nad memi popiołami,—dorzucił;—ja umierając zaklnę cię w zimny głaz, za karę, żeś sztydziła z moich uczuć.

— Chcesz może widzieć, jak będę wyglądała w postaci Nioby?...

Wskoczyła lekko na kamienną ławkę, przy której stał piedestał z marmuru, noszący niegdyś rzeźbioną figurę, strąconą na ziemię i zarosłą trawą i mchem.

Postawiła nogę na piedestale i wspięła się na miejsce obalonego posągu.

— Zaklinaj!— śmiała mu się w oczy wyzywająco.

Stał przed nią olśniony jej pięknosciami i smukłymi kształtami rysującymi się na tle zieleni.

Musiałbym być Pigmalionem w tej chwili, aby ożywić Galateę; chciałbym w kamieniu zbudzić serce!

— Szkoda zachodu!

Miała już z powrotem zeskoczyć na ławkę, kiedy nagle krzyknęła i z przerażeniem wlepiała wzrok w czarną połyskującą żmiję, która wypełzła z pośród kamieni i na rozgrzanej od słońca ławce leżała, jak rozwinęta sprężyna.

— Waż!—szepnęła z przestachem,— widzisz?...

Wyciągnęła przed siebie ręce i trzepotała nimi, jak ptak skrzydłami.

Wtedy poskoczył ku niej, porwał ją w silne ramiona i uniósł z kamiennej podstawy, przyciskając do piersi drżącą, zdyszana,

wystraszona, zanim oprzytomniała i obronić się mogła.

Po raz pierwszy miał ją tak blisko przy sobie, że czuł bicie jej serca przyspieszone, gorący oddech z otwartych ust, rozkoszne ciepło jej dziewiczego ciała, falującą pierś na swoich piersiach i wtedy płomień jakiś ogarnął mu głowę; ramiona mimowoli opasały ją silniej, zacisnęły się, jak obręcz stalowa około tego żywego posągu, którego dotknięcie warem krwi napelniało mu żyły.

Unosił ją szybkim krokiem przez cieniastą aleję, dźwigając na rękach, jak zdobycz, której żadna siła w tej chwili nie byłaby mu z ramion wyrwała.

Oszołomiony był, nieprzytomny, nie wiedział, co czyni, gdy usta swoje wpijał w jej rozchylone wargi i pocałunkiem gorącym, namiętym, pocałunkiem spragnionego szaleńca, tłumil krzyk, który się z jej piersi wyrwał. Chwila była krótka, błyskawiczna, ale przez tę chwilę oboje stracili przytomność i świadomość tego, co zaszło.

A kiedy minęła, kiedy z oczu obojga rozwiała się czerwona, paląca mgła, która im cały świat zasłoniła, kiedy z rozplecionych ramion wysunęła mu się na ziemię, stanął przed nią, jak winowajca, przerażony śmiałością własnego czynu; na ustach błękał mu się uśmiech dziwny, nieokreślony, uśmiech szczęścia i rozkoszy, a jednocześnie zmieszania, jaki musiał mieć Adam wobec Ewy po spełnieniu pierwszego grzechu.

Nie mógł widzieć jej twarzy, bo zakryła ją sobie kurczowo zaciśniętymi rączkami, nie śmiał podejść do niej i przemówić; usłyszał tylko krótkie, spazmatyczne łkania i zobaczył, jak się jej w nierównych odstępach podnosiła pierś gwałtownym oddechem.

A potem od razu stłumiła w sobie wszystko, odwróciła się od niego i głosem dziwnie żalonym, smutnym, zbolalym, przemówiła tylko tych kilka słów:

— Coś ty uczynił, Julku?...

Czuł, że mu usta zdrętwiały i zziębły w jednej chwili, jak gdyby były ze stali; powstał z ziemi, ale nie mógł słowa jednego wyrzec na swoje usprawiedliwienie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



W OGRODZIE.



I.

Gdy chodzisz cichą aleją
I zbierasz wonne kwiaty,
Gwiazdy do ciebie się śmieją
I srebrzą twoje szaty...

Gwiazdy ci lecą na głowę
Błękitnych skier kaskadą,
I mgły coś szepcą perlowe
I blask do stóp twych kładą...

I trawki pełne zachwytu
Balsamem wonnym duszą —
Księżyc z za rąbków błękitu
Ku tobie spływa ciszą...

II.

Moja pani chodzi w koronie
Utkanej z złotych zórz,
Pasowe całuje lewkonie
I pije wonie róż...

Moja pani z listków otrząsa
Iskierki drobnych ros,
Z wietrzykiem się bawi i płasa,
Co wplata się w jej włos....

Moja pani kwietne ma dróżki
Z tych wianków, które-m wil,
By na małe, drobne jej nóżki
Najmniejszy nie padł pył...

ry ksiądz dziekan przyjął nas z wyjątkową okazalnością i sercem. Nie pamiętam jego nazwiska, ale pomnę dwugodzinną gawędę przy kurczakach i węgrzynie. Kapłan miał cenne zbiory biblioteczne, sporo zabytków starej literatury. Pokazywał i — egzaminował delikatnie, to o dzieła Kadłubka, to o perły poezji Jana z Czarnolasu; to o inne rzeczy...

Strach ogarnął turystów — bo nuż wykrzyczy i... cofnie kurczęta... Nie wykrzyczył i — nie cofnął... Nawet poglaskał po ogorzalych licach, snadź zadowolony, że młodzi coś nie coś wiedzą o ukochanych zabytkach piśmiennictwa i dziejów...

Nie będą opisywał całej podróży, która trwała 10 dni i doprowadziła nas do Ojcowa. Miała i epizody smutniejsze: raz dzionek słotny a zimny, w którym przemokliśmy do nitki; raz nocleg poetyczny pod konarami buków miechowskich, bo jakoś po drodze nie zdarzyła się ani gościnna strzecha obywatelska, ani zawsze dla podróżnych otwarta plebania... Były i epizody... głodowe i obiad... poziomkowy, który wprowadził nas w wyborny humor, podobieństwem do poetycznego żywienia się korzonkami... Słowem było dużo róż-

nych przygód, mnóstwo wrażeń podniosłych i zabawnych — a co najważniejsza: było wesele, humor, ochota i duma z tej wędrówki po kraju, którego nie znało się wcale, a wtedy poznało wszystkimi wyczuciami młodej a silnej wrażliwości...

Tyle to lat temu — a zdaje się, że żaden szczegół ważniejszy nie zatarł się w pamięci, bo go tam utrwaliła ta młoda, potężna wrażliwość, te ciekawie rozwarłe oczy chłopięce, ta dusza żądna wrażeń i poznania...

Gdyśmy dotarli do celu podróży, z dziesięciurublowego kapitału pozostała jeszcze trzecia część na ucztę w ustroniu Łokietkowem. Całe więc 10 dni podróży kosztowały nas po mniej więcej półtora rubla na osobę... Srodze ucierpiał buty — ale za to zdrowie aż buchało od ogorzalych oblicz i zahartowanego ciała...

Przeczytawszy ten mój szkic opisowy, spytacie niewątpliwie, pocem go wam nakreślił i aż tyle zajął miejsca osobistymi wspomnieniami?

Odpowiedź krótka: chciałem w porze wycieczek zachęcić młodzież do ich przedsięwzięcia w tej lub innej formie, jak komu wygo-

dnie. Chciałem przekonać ją, że to rzecz łatwa, że nie wymaga dużych kosztów, ani potrzebuje skomplikowanych organizacji. Lepiej, oczywiście, odbyć wyprawę pod okiem doświadczonym pedagoga, czy wogóle kogoś starszego; lepiej usystematyzować wędrówkę i nadać jej więcej wartości pedagogicznej... Ale skoro o to u nas trudno jeszcze — przeto, kto chętny, ruchliwy i śmielszy, kogo nęca wrażenia, a pcha pragnienie poznania szmaktu swego kraju, niech spróbuje, jak my przed kilkunastu laty, a żalować tego nie będzie...

A gdy do waszych dworów szlacheckich na wsi zapuka pod wieczór kilka chłopiąt o ogorzalych buziach, i kłaniając się szarmancko, poprosi... o żdźbło siana w stodole, to przyjmijcie ich dobrem sercem matek, szczerym odruchem gościnności, uczęszczajcie, czem chata bogata, chociażby nawet... kurczętami — i pobłogosławcie rankiem na dalszą wędrówkę...

To tak łatwe i mało kłopotliwe w domu gospodarskim, a zapadnie w młode serca na całe życie i żyć będzie w ich wdzięcznej pamięci.

Artur Gliszczyński.

III.

Spójrz, jak się jabłoń ta ku tobie chyli,
Różowem kwieciami strojna twoja szata
I rój błyszczących, tęczyowych motyli
Na twe usługi przylata.

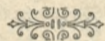
Nawet te floksy, rezedza zielona,
Nawet te bratki, nawet lilia błada
Wszystko się tuli do twojego łona,
Wszystko się tobie spowiada.

IV.

Usiadźmy, jasna, w tej ustroni,
Ja twe błękitne oczy zmruję,
Czy słyszysz — jak nam słowik dzwoni,
Czy czujesz — jak nam pachną róże?...

Czy widzisz, jak ten wieczór cichy
Niesie nam sny, co bóle koją,
Czy słyszysz — lilii drżą kielichy
I szepczą z cicha, żeś ty moja?...

Zygmunt Różycki.



GEORGES SAND.

W setną rocznicę jej urodzin.

(1804—1876).



Wszystko było u niej romansem,—nie tylko jej dzieła, ale jej życie, a nawet życie jej rodziców i przodków — do trzeciego pokolenia. Urodzeniu jej przewodniczyło sto lat dziedziczości romantycznej. W czasach, gdy jeszcze kryła się ze swym pociąganiem do pióra, złapała kiedyś swego brata na gorącym uczynku pisania powieści.

— I ty także! — zawołała radośnie,—więc my to wszyscy mamy we krwi!

Tak, wszyscy w tym rodzie mieli skłonność do romantyzmu. A krew ich była krwią nie byle jaką—bohaterską.

Pochodzili nie w zupełnie prostej, ale wyprostowanej potem linii od bohatera z pod Fontenay, Maurycego Saskiego, syna Augusta II-go Mocnego i Aurory von Königsmarck. Maurycy z niejaką panną Verdières miał nieślubną córkę, Maryę-Aurorę, która była babką Georges Sand.

Hrabia saski usynowił Maryę-Aurorę w roku 1748-ym. Adoptowała ją żona Delfina Francji, córka Augusta Mocnego, i wychowawszy ją w St.-Cyr, wydała za hr. Horna, który w parę tygodni potem zginął w pojedynku, nie pogrążając wdowy w żałobie, bo żoną jego nigdy nie była, rozstawszy się z nim w dzień ślubu.

Mając lat 25, po śmierci swej matki szukała przytułku w klasztorze. Tu znalazł ją Dupin de Franceuil, o tyle wytworny, o ile pierwszy mąż był brutalnym; światowiec, obdarzony licznymi talentami, prowadził życie na wielką stopę, dzieląc je pomiędzy swym pałacem w Chenonceaux, a wspaniałym Hotel Lambert w Paryżu. Pomimo tytułów do zyskania serca wdowy, musiał do niego szturmować przez dwa lata; nakoniec zdobył je. Małżonkowie wydawali po 600,000 liwów rocznie, nie dziw więc, że gdy po latach dziesięciu mąż umarł, pani Dupin wraz ze

swym synem, Maurycem, ujrzała się *zrujnowana*. Pozostało jej zaledwie 75,000 liwów rocznego dochodu.

W tym czasie wybuchła Rewolucya. „Obywatelka“ Dupin żyła spokojnie w majątku Nohant, nabytym za resztki fortuny i przy pomocy pedagoga Deschartres wychowywała jedynaka. Ale podczas Terroryzmu, skutkiem znalezionych u niej kompromitujących papierów, została aresztowana i przez dziwną ironię losu zamknięta w tym samym klasztorze des Anglaises (przy ulicy Fossée-St-Victor), w którym szukała schronienia między jednym małżeństwem a drugim. Komitet bezpieczeństwa publicznego zamienił go na więzienie. Ten klasztor zespolony jest z dziejami rodziny Georges Sand i jej samej. Tu odwiedzał matkę Maurycy Dupin; tu dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym samym czasie była więziona za „buntowniczą piosenkę“ je go przyszła żona; tu wreszcie Georges Sand kończyła nauki (1817—1820).

Wypuszczono na wolność panią Dupin w Sierpniu r. 1794-go. Mogła wrócić do Nohant i zająć się znowu synem, który podczas dni trwogi wykazał niepospolitą moc ducha i przytomność umysłu. Był to z natury bohater i artysta, szalenie odważny, a tkliwy, posiadający wrodzony talent do muzyki, do pióra, wirtuoz sercem i duchem. Jego życie było romansem wojennym i miłosnym, urwanym w 30-ym roku życia. Maurycy Dupin przeszedł przez dzieciństwo swej córki, jak meteor i w pamięci jej pozostawił niezatartą smugę świetlaną. Spokrewniona przez niego z dwoma królewskimi rodami (Burbońskim Saskim) przez matkę, Zofię Delaborde, była zespolona z ludem.

Dziecięciem ludu w najlepszym tego słowa znaczeniu była córka ptasznika Delabordesseura i żywa w swych uczuciach, niewykształcona a inteligentna, wesoła i naiwna, a przytem slichna, zgrabna i zręczna do wszelkiej roboty. Małżeństwo zostało zawarte wbrew woli matki Maurycego. Po jego śmierci te dwie kobiety pozostały nieubłaganymi wrogami.

Georges Sand wzrastała pomiędzy dwoma przywiązaniami do siebie, opartymi na nienawiści wzajemnej dwu kobiet. Nie dziw, że w najmłodszym wieku szukała samotności i lubiła ją nadewszystko.

W r. 1808-ym pani Dupin nie chcąc rozstawać się z mężem, który służył pod Muratem, podążyła za armią francuzką do Hiszpanii. Czteroletnia Aurora w pałacu księcia Pokoju w Madrycie bawiła się zabawkami, pozostawionymi wśród ucieczki przez infantów; w przebraniu huzarskiem cwałowała obok Murata, który ją nazywał „swoim malutkim adjutantem.“ Po wielu przygodach, rodzina Dupin wróciła wreszcie do Nohant, ale nie długo zażywano tam spokoju. W dniu 17-ym Września Maurycy został zabity przez wierzchowca Leopardo, którego otrzymał od Ferdynanda VII-go.

Wychowaniem Aurory zajęła się babka i starała się opanować to dziecko samolubne, psute przez ojca i prowadzone nierówno przez matkę. Jej mistrzem był profesor ojca, Deschartres, a kształcił ją nie na zarty. W 8-ym roku życia pisała poprawnie

i studyowała języki martwe. Mając lat 10, czytała Wirgiliusza w oryginale, a jednocześnie kształciła się w „sztukach nadobnych:“ malarstwie, muzyce, tańcu i „pięknych manierach.“ Nadewszystko pociągała ją literatura. Jako 11-letnia dziewczynka, pod wpływem Kornela, marzyła o Napoleonie I-ym i wyobrażała go sobie, wylądowującego na wyspie Elbie. W r. 1817-ym oddano ją do klasztoru des Anglaises. Pobyt swój zaznaczyła naprzód buntem, ale po halucynacji przed obrazem Chrystusa w Ogrójcu, popadła w mistycyzm. Było to potrzebą jej natury. Wrodzona uczuciowość szukała karmi. „Jedyną moją silniejszą miłością— pisze w „Historji swego życia“— było uczucie dla rodziców, ale ojciec umarł, babka nielitościwą ręką zdarła moje złudzenia co do matki: chcąc mnie do niej zrazić, wyjawiała mi rzecz okropną. Miałam lat piętnaście i wielką potrzebę kochania; serce trawiło się, nudziło — jeśli można tak powiedzieć. Musiałam kochać coś po za sobą, a nie widziałam nic takiego w świecie.“

Egzaltowane porywy dewocyi, po jej wyjściu z klasztoru, ustąpiły miejsca idealizmowi bez dogmatu, nasyconemu tkliwością i umiłowaniem sztuki. Przez dwa lata pobytu w Nohant pomiędzy wyjściem z klasztoru, a wyjściem za mąż, wyrobiła się umysłowo, zażywając wielkiej swobody pod bokiem babki, którą bliskość śmierci czyniła pobłażliwszą i bardziej tkliwą. Filozofowie i myśliciele wykształcili jej umysł; wczytywała się w dzieła Bossueta, Monteskiusza, Condillaca, Leibniza, Bacona i Pascala; pochłaniała utwory takich poetów, jak Dante, Wirgiliusz, Milton, Pope i Szekspir. Woltera, stosownie do obietnicy, uczynionej babce, zaczęła czytać dopiero mając lat 30. Jej przewodnikiem duchowym był Rousseau, pod jego wpływem zrodził się w niej liberalizm namiętny, który kierował jej poglądami religijnymi, moralnymi i politycznymi.

Śmierć babki (pod koniec r. 1821-go) pogrążyła ją w smutku, ale dała jej większą jeszcze swobodę.

Niebawem Aurora poznała tego, który został jej mężem, p. Dudevant.

Wbrew legendom, poślubiła go z miłości, ale ten młodzieniec elegancki, miły, trochę banalny, nie był dla niej towarzyszem odpowiednim, nie umiał z pod warstwy wrodzonej nieśmiałości wydobyć umysłowych bogactw, a gdy je wreszcie odkrył, wzbudziły w nim zawiść. Pożycie małżonków było burzliwe. Pani Dudevant przychodziły nieraz myśli samobójcze, dźwigała jednak te kajdany przez lat ośm, od r. 1822-go do wiosny 1831-go. W tym czasie urodziło jej się dwoje dzieci: Maurycy (1823) i Solange (1828). One ją wstrzymywały od zerwania węzłów małżeńskich; zdecydowała się nareszcie na pół-srodek: postanowiła spędzać kolejno po trzy miesiące w Paryżu i w Nohant— w Paryżu, aby pracą zarabiać na życie, w Nohant, aby spełniać swe obowiązki żony i matki.

Ta podwójna egzystencja stawała się coraz trudniejszą — p. Dudevant rujnował ją, wreszcie coraz wyraźniej odczuwała siłę swego talentu; stawał się coraz głośniejszym pseudonym Georges Sand, który przybrała, pisząc

swe pierwsze powieści do wspólni z J. Sandeau. Pochłonięła ją praca pisarska; aby mózgi jej się oddać całą duszą, wniosła przed sądy podanie o rozwód. Po głośnym procesie, odzyskała swobodę, przyznano jej nadto prawo do dzieci i do majątku. Nie nadużywała nigdy wobec męża tych praw uzyskanych.

Chcąc iść śladami Georges Sand w jej długiej i płodnej pracy trzeba napisać nie jeden, nie dwa artykuły, lecz długie studium literackie, na które nie wystarczają łamy naszego pisma. Dość przypomnieć, że jej dzieła obejmują sto tomów,—całą bibliotekę. Zaczęła swą działalność pisarską, mając już lat 27; poprzednio pisywała tylko listy i dziennik. Na drogę literacką popchnęła ją tylko bieda. Przybywszy do Paryża, a nie ufając pióru, okazała większe zaufanie — do igły: haftowała szaszety, futerały na rękawiczki, sprzedając je w bazarach za marne pieniądze.

Z powodu setnej rocznicy śmierci urządzono w Paryżu wystawę jej ręcznych robót — świadczą one o wielkiej pracowitości i zręczności. Niejedno oko łzą się zaćmiło, patrząc na hafty, dzierzgane ręką, umiejacą władać tak mistrzowsko piórem, a dzierzgane dla kęsa chleba. Jej przyjaciele namówili ją na spożytkowanie innego, większego talentu. Miała skromne pojęcie o swym rozumie i swych zdolnościach.

„Mój umysł pisze w „Histoire de ma vie,“ był pod pewnymi względami białą kartą, pod innymi — chaosem. Ale dzięki umiejętności słuchania rozjaśniłam sobie myśli i zdobyłam trochę wiedzy. Dużo zawdzięczam mężczyznom, i niepospolitym i zwyczajnym, to jest uchodzącym za zwyczajnych, bo ja nigdy nie uważałam ich za takich.“

Wpływali na nią kolejno Delatouche—wdrożył ją w samokrytycyzm, Alfred de Musset, którego piętno odbija się na jej pierwszych powieściach od „Lelii“ do „Mauprat“ (1833—1838), a zwłaszcza w „Lettres d'un Voyageur;“ następnie oddziaływali na nią duchowo: Sainte-Beuve, mistrz psycholog, Michał de Bourges, który ją nawrócił na zasady republikańskie, Lamennais i Piotr Leroux chrystyanizm jednego z socjalizmem drugiego, walczyły w jej powieściach, wydanych pomiędzy rokiem 1837 a 1848. Wpływ Chopina i artystki pani Viardot odbija się w „Consuelo“ i „La Comtesse de Rudolstadt:“ na jej upodobania i zapatrywania poetyckie najwyraźniej wpływał Mickiewicz; na jej poglądy malarskie — Delacroix. Nie jeden krytyk pisząc o niej, przytaczał zdanie pani de Girardin: „cherchez l'homme.“

Tak, była niewątpliwie pod wpływem wielu mężczyzn genialnych—nie zatarło to w niej indywidualności; brała myśli nagie i stroiła je we własną wyobraźnię, miała własny a odrębny sposób oświecenia cudzych poglądów. Najwymowniejszym wyrazem jej talentu jest miłość ludzi, współczucie; we wszystkich swych utworach była macierzyńska, tak samo w życiu — w uczuciach, które zdają się macierzyństwo wykluczać w swych romansach — rzeczywistych, nie mniej głośnych, a może nawet głośniejszych od wydawanych drukiem; w swoim stosunku do Chopin'a, do Musseta, powołuje się i zaślania macierzyńskimi uczuciami, które znajdowały miejsce obok innych. A już

jako matka wobec swych dzieci była prawdziwie macierzyńska, pełną poświęcenia.

Takim był umysł i takim serce Georges Sand. I jedno i drugie przebija w jej stylu czystym i barwnym. Pisała bez wynurzenia, bez pozy, tak, jak czuła — i to stanowi największą zaletę jej utworów.



CHWILA.



„Czasem chwila jest liczbą, reszta życia zerem.“
A. M.

Wczesnym Kwietniowym rankiem gorączkowy ruch wre w salach kolejowego dworca, przed odejściem pociągu z Warszawy.

Różnorodny tłum podróżnych przybywających pieszo lub dorożkami, dąży z pośpiechem do kasy kupować bilety, inni spacerują już spokojnie po sali, lub siedzą przy swoich podróżnych pakunkach, albo też posilają się naprędce przy bufecie. Wśród spacerujących osób, przechadzają się również dwaj studenci, rozmawiając półgłosem. Niższy blondyn z ledwo sypiącym się płowym wąsikiem, żywy w ruchach i usposobieniu, opowiada coś z zajęciem swemu towarzyszowi, wysokiemu szatynowi o bladej poważnej twarzy, ozdobionej ciemnymi, smutnymi oczami, jakby tonąciami w zadumie. Jest on na pierwszy rzut oka prawie nieładny, z wyrazem znużenia w rysach, posiadających jednak coś szlachetnego i dziwnie pociągającego, a męskiego.

Coraz ludniej staje się na sali, nie można przejść prawie wśród tłumu, więc też z trudnością przeciska się posługacz kolejowy niosący niewielką elegancką walizkę, przed postępującą za nim wysoką szczupłą blondynką w szarem, podróżnym okryciu, uwydatniającem jej zręczną kibić i postawę. Na głowie młodej podróżnej spoczywa szara, jak okrycie dżokejska czapeczka, cały zaś ten strój skromny i elegancki, nadaje młodej kobiecie cechę oryginalności i niepowszedności. Z pod czapeczki wymykają się niesforne promienie kasztanowatych włosów i gruby ich węzeł niedbale zwinięty opada na białą szyję. Cała postać podróżnej tchnie życiem, pewnością siebie i jakąś świeżością wiosenną, niby wiązanka wonnych fijołków przyczepiona od niechęć do klapy jej okrycia.

Z swobodą obytej w świecie osoby, zajęła miejsce na jednym z krzeseł stojących przy stole, a nie zmieszana zupełnie spojrzeciami ciekawymi mężczyzn siedzących opodal przy szklanekach z herbata, rozgląda się śmiało, lecz obojętnie po sali, upatrując zapewne znajomych sobie twarzy.

Wreszcie posuwające się automatycznie fijołkowe źrenice podróżnej po otaczającym ją tłumie, zablęśły nagle lekkim ożywieniem, spotkawszy się z spojrzeniem niemłodego mężczyzny, typowego wieśniaka z ogorzalą, rumianą twarzą i dobrodusznym uśmiechem, który podchodząc żywo z dłońią do powitania wyciągniętą, wołał serdecznie:

— Ach! co widzę, p. Jadwiga? Czy wprost z Zurichu i na dobre już do nas?

— Tylko na święta do poczciwej ciotki Urszuli, pragnącej mnie koniecznie — odpowiada interpelowana, uśmiechając się życzliwie i podając z wdziękiem rękę witającemu ją panu.

— A na długo, jeśli można wiedzieć?

— Na cały miesiąc, lecz za to już w wakacje nie pojawię się tu wcale, ponieważ wybieramy się zwiedzić szpitale w Pradze Czeskiej i Berlinie.

— Więc kiedyż będziemy mieć szczęście powitania na stałe u nas szanownego eskułapa?

— Za rok—odpowiada panna, zatrzymując wzrok swój na dwóch przechodzących tuż obok niej studentach, którzy niby nie patrząc, pilną jednak zwracają uwagę na podróżną i jej towarzysza.

— Kto to być może? — szepcze blondyn — niezwykle jakieś niewieście stworzenie...

— Możebyś już rad zawrzeć znajomość?

— Jakbyś wiedział, Jerzy, muszę poznać tę interesującą podróżną i być jej towarzyszem w wagonie, gdy w jedną stronę jedziemy.

— Dajże spokój—reflektuje szatyn—siadamy lepiej do oddzielnego przedziału, a przynajmniej wypimy się doskonale.

— To śpij sobie, jak suseł, ale bezemnie, bo ja muszę znaleźć sobie miejsce tam, gdzie się ulokuje ten niezwykle typ kobiety.

— Ty zawsze z tymi swoimi typami, niepoprawny jesteś. Wiecznie wynajdujesz coraz to nowe i niby ciekawe, a wszystkie one są do siebie podobne—dodał Jerzy z pewnym lekceważeniem i znużeniem w głosie.

Tymczasem do rozmawiających, wieśniaka i panienki, zbliżył się jeszcze jeden również starszego wieku podróżny, a spostrzegłszy Jadwigę, skłonił jej się z galanterią, cechującą dawniejsze pokolenie mężczyzn.

— Witam! witam! czcigodnego konsyliarza dobrodzieja, przybywającego wraz z wiosennym ptactwem do rodzinnego zakątka. Zażałowałaś przecież pani za nami!...

To mówiąc ścisłał serdecznie drobną dłoń panienki, która nawzajem z miłym uśmiechem i życzliwością witała nowoprzybyłego.

— To prawda, żałowałam się już niezmierznie do kraju i [pozazdrościwszy jaskółkom, bocianom i wszelkiemu ptactwu, dążącemu w moje ukochane strony, pospieszyłam za nimi. Ale co tam u państwa w domu słychać?

— A no, wszyscyśmy zdrowi, za co Bogu dziękujemy. Reńka rwała mi się trochę iść w ślady pani, ale jakoś w końcu dała sobie to wyperswadować, gdy zwłaszcza p. Zygmunt Różycki przyczynił się do tych perswazyi naszych, zaręczynowy pierścionek wkładając na paluszek mojej najstarszej jędynaczki. Ślub ich ma się odbyć w Czerwcu i może potem odwiedzą panią w Zurichu, gdy poślubną podróż po Szwajcaryi odbywać będą.

— Cieszę się na to ogromnie, bo już mi Renia pisała o tym projekcie.

— A może teraz i pani pójdziesz za jej przykładem i z jakim młodym doktorkiem przyszele swe gniazdko rodzinne uścielesz?

— O! niema o to żadnej obawy! jestem wyłącznie studiom swoim oddana i rozmił-

wana w nich tak bardzo, że na inne uczucia wprost nie mam czasu!

— Przechodzący w tej chwili student blondyn, poznał widocznie w nowoprzybyłym swego znajomego, zbliżył się bowiem skwapliwie ku niemu, witając uprzejmym ukłonem.

— Jak się pan miewa p. Tadeuszu? miło mi go spotkać, jedziemy pewno razem, nieprawdaż? pytał starszy jegomość?

— Tak, podążam wraz z moim kolegą na łono rodziny, by tam świąteczne ferye przepędzić—odparł żartobliwie Tadeusz, a pociągając na bok powitanego, zapytał cicho:— kto jest ta młoda osoba?

— Oho! już ją zoczyłeś, bałamucie? — uśmiechnął się filuternie zapytany—to moja bliska sąsiadka, dzielna dziewczyna, p. Jadwiga Krońska, obecnie studentka medycyny w Zurichu i uprzedzam—obojetna na wszelkie pociski męzkich zabiegów.

— Emancypantka, feministka i przewrócona głowa! domyślam się—rzekł jednym tchem prawie Tadeusz—ale ładna i oryginalna—dodał patrząc z ukosa w stronę panią i skubiąc zawzięcie młody swój wąsik.

— Przekonasz się o tem, gdy poznasz ją bliżej, a tymczasem możebyśmy wszyscy napili się herbaty zanim pociąg nadejdzie? — rzekł, zwracając się do Jadwigi.

Podziękowała jednak uprzejmie, gdy starsi panowie zasiedli przy stole, wyszła na peron by odetchnąć świeżem wiosennym powietrzem i popatrzeć na okrywające się już młodą zielonością drzewa i krzewy. Wiosna bowiem wcześniej niż zwykle, rozpostarła już swoje panowanie na ziemię w całej pełni swej krasy, dźwięcząc najwdzięczniejszym akordem życia przyrody, owiana urokiem poezji, płynącej z nawięzi strun jej nieśmiertelnej liry. Wszystko zdaje się radować słońcu i temu nowemu życiu, wszystko technie ożywieniem i nadzieją lepszej jakiejś przyszłości...

Młoda podróżna przechadza się zwolna po rozległym peronie, wciągając w piersi ożywcze powietrze, a rozmarzonym wzrokiem goniąc w dal niezmierną.

Nareszcie słyhać już świst i sapanie pociągu nadchodzącego do stacyi, gdy naraz oczy paniąki spoczęły na małym, potwornem stworzeniu, zaledwie poruszającym się w zagłębieniu szyny. Stworzeniem tem—jest wstrętne żaba, ropucha, odurzona jeszcze resztkami snu zimowego, pełzająca zwolna i nie wiedząca nic o grożącym jej niebezpieczeństwie zmiążdżenia przez nadchodzący pociąg. Młoda podróżna, tknięta uczuciem litości, usiłuje końcem parasola zepchnąć żabę na środek kolejowego toru, lecz uparta ropucha rozsiadłszy się, ani myśli ustąpić wytrzeszczywszy swe okrągłe oczy na mniemaną prześladowczynię, a pociąg jest coraz bliżej, tuż prawie, paniąka więc wydobywa szybko z kieszeni chusteczkę i porwawszy przez nią żabę, odrzuca daleko w stronę stacyjnego ogródka, z lekkim okrzykiem wstrętu, nie zauważywszy, że jest obserwowaną przez kilka opodal stojących osób, a wśród nich dwóch studentów.

— Ta lub żadna! — szepeją usta Jerzego, a ciemna głębia jego źrenic goni za wysmukłą postacią dziewczyny, wchodzącej na stopnie wagonu.

— Kto ma tyle miłosierdzia dla biednego, wstrętnego stworzenia, musi posiadać serce uposażone hojnie przymiotami duszy — mówi sobie w duchu Jerzy, zajmując miejsce w wagonie, wprost interesującej podróży, cudem prawie zdobyte przez Tadeusza.

Ozwał się dzwonek i pociąg ruszył, unosząc dwoje ludzi, których życie może w niedalekiej przyszłości popłynie razem przez świat szeroki... szczęśliwie!

Matka M. R.-S.



D-r Henryk Nusbaum.

PAMIĘĆ, JEJ ZNACZENIE W UMYSŁOWOŚCI I ETYCE.

Odczyt na Osady Rolne.



(Dokończenie).

Nikt nie wątpi o doniosłości cnoty miłości kraju rodzinnego, i któż jej w sobie nie czuje? Ale stosunki współczesne zarówno kulturalne, jak ekonomiczne, poszukiwanie chleba, poszukiwanie nauki lub biegłości w tym lub owym zawodzie, których źródła najlepsze rozproszone są po wielkich obszarach świata ucywilizowanego, zmuszają dziś zbyt często jednostki a nawet całe rodziny do udawania się na czas dłuższy, nieraz bardzo długi na obczyznę. Otóż tylko pamięć żywa wielu ludzi, wielu rzeczy, miejscowości, sytuacji, wzruszeń przyczynić się może do przechowania miłości do kraju rodzinnego, nawet w największym od niego oddaleniu, nawet po najdłuższym niewidzeniu go.

Miłość ojczyzny porównać można z miłością erotyczną, mieści się w niej bowiem moment i zmysłowy, i duchowy. Przywiązanie do charakteru pejzażu, do flory, do fauny, do przejawów klimatu, do zwyczajów powszedniego życia, to fizyczna niejako strona miłości ojczyzny, i razem potężny, żywiołowy czynnik tego uczucia; przywiązanie do języka stanowi przejście do strony duchowej, której istotę stanowi zamiłowanie literatury ojczystej, współczucie z losami dziejowymi kraju rodzinnego, pragnienie gorące jego pomysłowości i rozwoju. Jak w miłości erotycznej, tak i tu, dwa te czynniki i fizyczny, i duchowy wzajem się potęgują, ale w miłości kraju rodzinnego elementarna siła pierwszego gra rolę daleko donioślejszą. Niemasz tu bowiem warunków zmienności. Powaby ziemi rodzinnej nie więdną, ona jest wiecznie młodą, piękną, pełną niewypowiedzianego czaru dla tych, którzy u łona jej nauczyli się żyć, myśleć i marzyć.

Głębiej uświadomiona, podnioslejsza miłość rodzinnego kraju wymaga prócz tego, ogromu wiedzy więc i ogromu pamięci, której treść wypełniają jego dzieje, tryumfy i klęski, jego mędrzy i bohaterowie, wytwory jego geniuszu, jego potrzeby duchowe i gospodarcze.

Wszakże u ludzkiej umysłowości szczytów, muzy w przeczystej rozkochane prawdzie, zrzucając z siebie, niepokalaną jaśniejącą cnotą, ziemskie swe szaty na narodową przykrojone modłę, w narodowe upstrzone barwy. I dlatego tym, którzy w bardzo wysokie zaciekają się ducha dziedziny a wśród obcych żyją, zdala od bijącego łona rodzinnej ziemi, grozi bardzo znaczne rozluźnienie, a w końcu zupełne zerwanie węzłów, łączących ich i z ziemią rodzinną, i z braćmi po krwi. Tej naturalnej łączności—ze swojszczyzną, niezachwianej wierności krajowi rodzinnemu, nawet na obczyźnie dalekiej stróżem jedynym jest dar wielkiej pamięci wzruszeń przynależnych do fizycznej dziedziny miłości kraju rodzinnego, ona jedna nieci bezprzestannie wielką i trwałą tęsknotę, niewygasłą, dożywotnią ziemi rodzinnej wierność i miłość.

Jeżeli pamięć tak skutecznym jest czynnikiem wdzięczności, przyjaźni, miłości, czci umarłych, cnót społecznych, to może jest ona w równej mierze skutecznym czynnikiem trwałego żalu, surowości sądów, potępienia zmarłych?

Wszakże zupełnie co innego jest *władza pamięci* i zupełnie co innego *zasady moralności*.

Nie twierdzimy wcale, aby dobrze rozwinięta, możliwie wszechstronna pamięć była matką moralności, tylko, że pamięć jest warunkiem niezbędnym spełniania obowiązków moralności, brak jej, źródłem obfitem przewinień względem tych obowiązków. Brak pamięci prowadzi do niespełniania obowiązków moralnych, albowiem o obowiązkach tych zapominamy pozbawieni będąc pamięci tych uczuć i wzruszeń, których dany moralny obowiązek naturalnym jest wynikiem. Sam zaś obowiązek, co jest rzeczą wiadomą, wpaja się różnemi drogami w dusze nasze. W duszach przedewszystkiem zupełnie normalnych, zdrowych, więc z natury dobrych, moralność jest naturalnym wynikiem uczuć, wzruszeń i pojęć, a wogóle przenika ona do dusz przez wpajane za młodu zasady, przez sugestję dobrych wzorów, przez trafne rozumowanie i zdrowe ztąd wynikające pojęcia, przez wpływ wysokiego moralnego poziomu środowiska, karność opinii publicznej i t. d.

Zapewne, w duszy chorej też sama pamięć może być czynnikiem wielu bardzo niemoralnych uczynków, właśnie dlatego, że jest siłą wielką. Siła każda może być błogosławioną lub przeklętą, budującą lub niszczącą, leczącą lub trującą, zależy to od punktu jej przyczepu i kierunku działania. Kto ma siłę podnosić, ma też siłę zwałać. Ogień tworzy i niszczy. Lekarstwo leczy i zabija może.

Ale pamięć nie tylko jest warunkiem koniecznym, aby odziedziczone, czy wpojone zasady moralne w życiu skutecznie stosowane być mogły, jest ona czemś więcej, jest mianowicie glebą, na której stokroć bujniej wyrasta kwiat moralności, aniżeli chwast występku.

Dobro jest normą ducha ludzkiego, zło chorobliwym jego zboczeniem. Poznanie rzeczywistości, przyrody, życia jednostki, życia społecznego, dziejów, rozwija w nas dobro,

umacnia zasady moralne. Błędne pojęcia o rzeczywistości, o przyrodzie, życiu, dziejach — stwarzają w nas sądy, dążenia i czyny opaczne, złe. Poznawania dokładnego warunkiem niezbędnym jest pamięć, jest więc ona i pośrednio czynnikiem dobra, czynnikiem dodatnim moralności.

Pamięć nasza, jak to już wspominaliśmy, odnosi się nie tylko do minionej przeszłości, do terażniejszości, ale i do przyszłości. Życie ludzkie jest zjawiskiem, które w całości swej odbywa się w czasie, im bardziej więc wszystkie czasu tego momenty, co więcej, poprzedzające go i po nim przyjsie mające, skupione będą w świadomości naszej, im bardziej będą bliskie kojarzeniowemu uświadomieniu, tem pełniej, tem trafniej, tem logiczniej w każdej chwili rozgrywać się będą wzruszenia nasze, pojęcia, myśli i czyny.

Człowiek wysoce uduchowiony, więc obok wrażliwości wielkiej, wielką obdarzony pamięcią, uprzytamnia sobie łačno, w każdej chwili przemijalność swoją tu na ziemi i już dzięki temu jednemu żywemu poczuciu, wolnym będzie od wielu niepomamowanych uniesień namiętności. Rozkoszy życia nie cenić będzie nad miarę, nie da się porwać wirom zawrotnym wszelakich ambicyi, żądy wielkości, władzy, zaszczytów i t. p., bo zawsze bóstwo Mnemosyne przypominać mu będzie wyrzeczenie króla mędrca: „Zaprawdę, wszystko jest marnością;“ pomnym będzie zawsze nieodzownie wypisanego nań wyroku: „z prochu powstałeś, w proch obrócon będziesz!“

I jeszcze jeden słyseć zda mi się zarzut wymierzony przeciw wielkiej wartości pamięci.

Pamięć utrwała bóle nasze własne i cierpienia, utrwała w nas bóle i cierpienia bliźnich naszych, uprzytamnia nam straty najdroższych osób: uprzytamnia nam własną naszą nicotę. Pamięć, słowem przysparza nam w życiu cierpienia! To prawda! Kto doznał np. w życiu gorzkiego zawodu i zapomnieć o nim nie może, temu na całe życie pamięć ta chmurą ołowianą zamraczać będzie słońca uśmiechy i dojmującą goryczą zaprawiać wszelkie późniejsze wrażenia, a jeżeli nawet szum życia chwilowo ją zagłuszyć zdoła, niemniej do bogatej tej a złamanej duszy odnosi się słowa poety:

O morze! pośród twoich wesołych żyłatek
Jest polip, co spi na dnie, gdy się niebo chmurzy
A na ciszę długimi wywija ramiony.

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiętek
Co spi w pośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

A jednak melancholijnemu nastrojowi takiemu wtóruje podniosła rozkosz samopoczucia duchowej głębi, rozjaśnia go świetlana aureola cierpienia i dostojeństwa pamięci — które daje rozkosz świadomej siebie wyższości ponad banalną pospolitość.

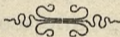
To prawda! Jakże okropnie być muszą np. wyrzuty sumienia dla człowieka obdarzonego niewygasalną pamięcią! Lekkomysłność lub niepomamowane namiętności, uniesienie popchnie czasem do czynu, który na życie całe pozostawia dręczącą świadomość niezma-

zanego własnej człowieczej godności pokalania. A choćbyśmy zdolni byli tysiączną pokutą oczyścić własną winę, jako odpowiedzialność, to i wtedy jeszcze z sumienia naszego nie zdolni będziemy wyrwać onej krzywdy, onego cierpienia, jakie z winy naszej ongi dotknęło bliźniego naszego, gdy krzywda ta jest nieopłacalną!

A jednak ta zapomnieć niezdolna, bezlitośnie wyrzutem sumienia szarpana dusza, ileż dostojniejszą jest od onej, którą wyrzut sumienia krótką tylko chwilę kęsa, którą lada jaka pokuta w mniemaniu jej rozgrzesza doszczętnie.

Pierwszej, trwała choć bolesna pamięć winy popełnionej, pancierzem będzie na zawsze od pokus nowych, od nowych upadków — druga doszczętnie, rychło rozgrzeszona, przystępną pozostanie najprawdopodobniej przewinieniom nowym. Ale choćby za podmuchem pamięci, na wadze życia szala cierpienia przeważała istotnie szalę rozkoszy, to jeszcze zauważyć nam tu wypada jedno:

Pamięć jest czynnikiem świadomości naszej, bogactwa naszej wiedzy, pamięć rozprzestrzenia ducha naszego na obszary czasu, w których życie nasze jest tylko jedną chwilką, pamięć rozprzestrzenia ducha naszego po krańce przestrzeni, do których sięga moc zmysłów naszych, a w której jesteśmy iskrawką tylko, pamięć jest czynnikiem jedności duchowej naszej, warunkiem szlachectwa i dostojności ducha naszego; prawda, pamięć smaga nas nieraz boleśnie, ale wieńczy czoło ludzkości gwiazdą gieniuszu, a gdy tak jest, doprawdy, że okupuje ona stokrotnie cierpienia, których bywa w nas zaczynem.



W NAJPIĘKNIEJSZYM SALONIE...



— Byłem znówu w jednym z najpiękniejszych salonów warszawskich...

— Pewno w salonie hrabiostwa S., albo może u p. B?...

— O nie... u.. Krywulta.

* * *

...Kocham Kraków, to stare bardzo nasze miasto... Wawel, Wisła, zakątki, pamiętające królewskie pochody. Do serca mówią te stare mury o dobrych czasach, jak warszawskie „Stare Miasto.“

Kraków, ten stary, przeszłością żyjący Kraków, jest dziś u Krywulta.

Artysta wielkiej miary, Tondos, wystawił cykl, szesnaście obrazów: „Gród Podwawelski.“

Wszystko przedziwnie piękne prace, znakomite akwarelle.

Cykl ten stawia Tondosa w rzędzie znakomitych akwarellistów polskich. Nie od rzeczy zaznaczyć, że w ogóle malowanie akwarellą jest technicznie trudniejszym od malowania farbami olejnymi. Akwarella wymaga większej pewności ręki i oka, czystszeo rysunku, nie znosi, wyklucza—blagę.

Ale nie tylko doskonała technika jest zaletą cyklu Tondosa. Jego obrazy dlatego takie piękne, takie do serca mówiące, że na nich jest tylko Kraków dawny, wielki.

Które z obrazów cyklu wydają mi się najpiękniejszymi? Te, w których czyste linie

gotyckich słupów „Sukiennic“ tworzą jakby rami dalszych horyzontów.

Wolałbym, aby na niektórych obrazach nie było ludzi. Te małe plamki w dzisiejszych strojach burzą illuzję, że to Kraków rycerzy pancernych.

* * *

Dyzmański nadesłał z „miasta kwiatów,“ z Florencyi, dwie głowy kobiece, piękne, jak kwiaty. Powaga i szlachetność jest w rysach tych delikatnych twarzy. Jedna brunetka, druga czerwono-włosa, obie ciche, prawdziwie kobiece, koją czystemi spojrzzeniami. Pan Dyzmański nadesłał dwie piękne prace.

* * *

Lubię Pawliszaka rozmach i siłę i najnowszy jego obraz „Walka o kobietę,“ ma te zalety. Gdzieś w dawnych czasach porwano „białogłową;“ na odsiecz bieży pokrzywdzony ze służbą swoją. Strzały syczą i ludzie z wściekłości; konie mkną w pościg z wiehrami. Kobieta bierna. Koloryt jasny, żywy, jak słońce kraju, w którym ten dramat się rozgrywa.

Najnowsza kompozycja Pawliszaka jest miłym dowodem, że jego krewki, pełen temperamentu talent, jest w ciągłym rozwoju.

* * *

P. J. Weinles niech nie goni za jaskrawymi efektami, niech poprzestanie na jednej próbie, za jaką uważać należy jego „Partię szachów.“ Naprawdę szkoda tego obrazu, mógłby być doskonałym. Postacie kobiet, skupionych nad szachownicą, rysowane wybornie, również dziecko rysowane świetnie — wszystko jednak psuje niestety... dyaboliczna lampa, rozsnuwająca na tę miłą rodzajową scenkę, nie wiadomo po co, jaskrawe, czerwone refleksy. Jest dysproporcya między tym silnym efektem, a tematem obrazu i w tem może powód, że ta praca nie wywołała we mnie artystycznego wrażenia.

Osmieliłem się to powiedzieć tak szczerze, bo uważam p. Weinlesa za artystę wielkiego talentu.

Uprawniają mnie do takiej opinii wystawione przez niego równocześnie dwa studia typów żydowskich. Te studia, to wielka, szczerza, czysta sztuka, gardząca krzykliwymi efektami.

* * *

Przypomina mi się kawiarenka „cyganki“ malarskiej w Rzymie. Słynna, głośna, w biografjach wielkich artystów wspomiana. „Cafe antico greco“ przy via Condotti. Na jednej ze ścian tego sympatycznego lokaliku jest portret Adama Mickiewicza. Na skraju płótna jest podpis artysty: Okuń.

Przypomniało mi się to dzieło, gdy ujrzałem w salonie Krywulta dwa nowe obrazy tego artysty.

Te prace w porównaniu z tym przepięknym obrazem w małej kawiarence, to znówu jeden krok naprzód w rozwoju artysty. Talent p. Okunia nie osłabł i nie zszarzał.

„Kobieta na kwiatkach“ piękna.

„Judas“ na wzgórzach Rzymu, to naprawdę, jakby personifikacja Fałszu. Ma się wrażenie, że tylko takie lica, taki wyraz twarzy i takie oczy mógłby mieć Fałsz, gdyby był żyjącą jednostką.

Intarsya i mozaika drzewna.

I znówu zasługą inicjatywy, energii i pracy kobiety, że rozwój sztuki stosowanej postąpił u nas o jeden krok naprzód.

Wdzięczność jej za to; tak mało dotąd czytno się u nas na tem polu: leżało ono prawie odłogiem.

Nowej pracowniczce na imię: Marya Starża. Nowy dział zdobnictwa przez nią wprowa-

dzony, przez nią nauczany z mrówczą pilnością i cierpliwością, to *intarsya i mozaika drzewna*.

Na czym to polega? jak się to robi?

Delikatną piłeczką (laubzegą) wycina się z różnych gatunków drzewa, według poprzednio obmyślonych rysunków drobne kawałeczki, które później złożone w jedną całość, tworzą barwny obraz deseniowy lub fantazyjny.

Heban, jawor, orzech, gruszka, amarant i mahoni, to podstawowe kolory takich obrazów. W razie potrzeby używa się też drzewa barwionego specjalnie.

Z takich drobnych różnokolorowych kawałeczków złożyć obraz, to mrówcza praca, zwłaszcza, że trudnością wielką, wymagającą matematycznej dokładności, jest wykrojenie owych drobnych części tak, aby złożone w całość przylegały do siebie dokładnie, nie psując w niczem linii rysunkowej.

P. Marya Starża nie szczędziła trudów, by osiąść tę pewno wdzięczną, ale i trudną sztukę.

Nauczycielem jej była zagranica, niestrudzonym korepetytorem — żelazna wytrwałość.

Nowy dział sztuki stosowanej znalazł opiekuna w zarządzie warszawskiego „Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej.”

Tak powinno się było stać: Zakres działalności tej szkoły kultury naszego przemysłu znowu się rozszerzył.

I dobrze się stało. Zaledwie rok istnieje ten nowy dział przy Muzeum, a już rezultaty nauki obazały się bardzo dodatnie.

Widziałem prace uczennic p. Starży. Śliczne powierzchnie stolików, śliczne „panneau,” szafki, szkatułki, nożyki. W każdym drobiazgu pomysłowość rysunku, dokładność roboty. Ach, te małe, drobne, pracowite rączki kobiety, jakie one ładne rzeczy umieją tworzyć!

Dodać należy, że wszelkich pomocniczych robót, potrzebnych, aby jakiś przedmiot był zupełnie wykończony, a więc bejeowania drzewa, politurowania i t. d., naucza również p. Starża.

Ten nowy dział sztuki stosowanej powinien być protegowany przez kobiety. Delikatna piłeczka, to bardzo stosowne narzędzie dla drobnych, pracowitych rączek.

Gilbert.



Poczucie moralności u zwierząt.



La Fontaine utrzymywał w wierszach, które wszyscy znamy, że zwierzęta nie są jedynie maszynami, że jest w nich rodzaj inteligencji i uczucia pokrewnego naszemu. Lecz czy nie należałoby posunąć się jeszcze dalej, aniżeli twierdził bajkopisarz i przyznawać zwierzętom piękniejszą jeszcze cechę?

W człowieku najgodniejszą podziwu i najbardziej „ludzką” jest zdolność, jaką posiada do odczucia złego i dobrego i ta możność zastosowania swojego postępowania według pojęcia, jakie sobie tworzy o moralności.

Czy niemożliwym jest rozeznanie w zwierzęciu zarysów tej zdolności, czegoś, co by miało podobieństwo do poczucia obowiązku? Fakt podobny miałby wielkie znaczenie. Szukajmy więc pomiędzy czynami spełnionymi przez zwierzęta, takich właśnie, któreby miały to piętno, i spytajmy siebie: czy i teraz już nie spostrzegamy w świecie zwierzęcym pierwszego błysku moralności ludzkiej?

Wiemy wszyscy, że zwierzęta zdolne są kochać i poświęcać się dla tych, których ko-

chają. Spotykamy w świecie zwierzęcym wzory miłości małżeńskiej i rodzicielskiej.

Przytaczają niezliczone przykłady matek, poświęcających się dla swych małych, lecz możnaby to uważać za objawy instynktu. Przypatrzmy się jednak faktom, które dowodzą pewnego pojęcia, jakkolwiek niejasnego i niedoskonałego o złem i dobrem, o zasłudzie i winie, o sprawiedliwości i nadużyciu.

Prawo i obowiązek. Sądy powietrzne.

Często spotykamy się z powtarzaniem anegdoty, której bohaterem był pies przyrodnika Romanes'a. Pies ten raz jeden tylko popełnił kradzież, w następujących okolicznościach:

„Pewnego dnia, kiedy był bardzo głodny — opowiada pan jego — porwał kotlet ze stołu i zaniósł go pod kanapę. Byłem świadkiem tego, lecz udawałem, że nic nie widzę. Winowajca pozostawał przez kilka minut pod kanapą, wahając się między chęcią zaspokojenia głodu a poczuciem obowiązku; to ostatnie przemogło, i pies przyszedł złożyć u nóg moich zabrany kotlet. Spełniwszy to, powrócił pod kanapę i żadne nawoływania nie mogły go zachęcić do wyjścia z pod niej. Darownie głaskałem go łagodnie po głowie; ta pieśczość miała ten skutek, że odwrócił się z wyrazem skruchy prawdziwie komicznej.”

Co nadaje wartość szczególną temu przykładowi — wnioskuje Romanes, — to, że pies, o którym mowa, nie był nigdy bity, zatem nie obawa kary cielesnej skłoniła go do takiego postępowania.

Oto zdaje się zwierzę, które znało swoją powinność względem drugich; a teraz przytoczymy przykłady o innych zwierzętach, które wiedziały, co im się należy.

Zauważono niejednokrotnie, że pewne zwierzęta wytworzyły sobie bardzo dokładne pojęcie o tem, czego można od nich wymagać bez wyzysku, i że stawiają opór, jeśli kto chce zmusić je do przekroczenia granic nałożonego na nie obowiązku.

„Woly — mówi Montaigne, — używane były w ogrodzie w Suzie do polewania i do obracania pewnych wielkich kół do czerpania wody; każdy wół obowiązany był uczynić sto obrotów dziennie; były tak przyzwyczajone do tej liczby, iż bezwarunkowo nie pozwalały się zmusić do większej. Spełniwszy swoje zadanie — przerywały pracę stanowczo.”

Inne czasy, obyczaje te same. Muły tramwajowe w Nowym-Orleanie, mające przebywać pięć kursów z rzędu, odbywają cztery bez protestu, lecz zaczynają ryczeć pod koniec piątego.

Sławny uczony Arago, zmuszony był schronić się pewnego razu przed burzą, w jakimś wiejskim zajeździe. Grzał się właśnie w głębi kuchni, gdy wszedł gospodarz, niosąc kureczkę, które sam osadził na rożnie, poczem udał się do izby, gdzie się znajdował jamnik, który był przyuczony do obracania różna. Chciał go pochwycić, lecz pies skrył się pod stół, szczerząc zęby.

Gdy Arago okazał zdziwienie nad zachowaniem się psa, wytłómaczono mu, że nie jest on tak bardzo winien, ponieważ nie była to jego kolej. Posłano też po drugiego jamnika, który zabrał się do roboty bez skrzywienia.

Gdy kureczkę było w połowie upieczone, kucharz uznał, że już czas na zmianę; teraz pies, który się wpięrow okazał krnąbrny, nie robiąc żadnych trudności, skończył rozpoczęte zajęcie.

Czy to jest wreszcie do uwierzenia, by zwierzęta wymierzały sprawiedliwość, by miały rodzaj trybunałów, gdzie oskarżeni stawają przed sądem?

Jest to jednak faktem, że pewne zgromadzenia zwierząt posiadają, na wzór urzędów ludzkich, zupełną organizację sądową.

Doktor Edmonson, który badał specjalnie

obyczaje wron, opowiada, że urządzają one peryodyczne posiedzenia, na których obrabiają sprawy bieżące. Między zgromadzonymi znajdują się niektóre wrony z głowami pochylonemi, z miną zgnębioną; inne zachowują się poważnie, jak sędziowie, wreszcie inne jeszcze pełne są ruchu i podnoszą wielką wrzawę. Gdy zebranie jest w komplecie, robi się hałas ogólny i wkrótce potem adwokaci, woźni i publiczność rzucają się na dwóch lub trzech oskarżonych i stawionych przed kratką i zatłukują ich na śmierć.

Zwierzęta jałmużnikami. Przebaczenie krzywd i duch poświęcenia.

Nie wyrządzać krzywdy nikomu, oddawać każdemu, co mu się należy, odbierać wedle zasług — to nie czynna, lecz niejako bierna strona moralności.

Po za obowiązkami sprawiedliwości, są jeszcze obowiązki miłosierdzia, które się dadzą zamknąć w tych słowach: „Czyn dla drugich to, co byś chciał, by dla ciebie uczyniono.” Czy zwierzęta zrobiły ten dalszy krok moralności? Czy dochodzą do miłosierdzia?

Osądźcie sami zdarzenie, które miało miejsce w menażeryi w Paryżu, podczas wielkiego jarmarku.

„Wrzucono — mówi p. Pannetier — do klatki lwicy z Sahary, zwanej „Constantine,” malego pieska czarnego w białe łaty; wystraszony, cały drżący, skrył się do kąta. Lwica wstała powolnie i zbliżyła się do biednego zwierzęcia, które wydało krzyk żałosny, spoglądając na nią błagalnie. Wówczas lwica położyła się znów spokojnie, nie wyrządzając żadnej krzywdy pieskowi. Gdy nadeszła chwila karmienia, wrzucono do klatki lwicy przeznaczony dla niej mięso. Część pożywienia zostawiła dla swego towarzysza. W kilka dni później jedli razem, a w tydzień pies rzucał się pierwszy na obiad. Za nadejściem jesieni piesek uznał za stosowne spędzać noce między łapami lwicy.”

Czyż to nie jest piękny przykład miłosierdzia i gościnności?

Ktoby przypuszczał, że zwierzę potrafi zwalczyć swoją miłość własną instynktową aż do przebaczenia krzywdy, aż do dobrowolnego pogodzenia się z nieprzyjacielem?

Backok opowiada, że pewien pies pokłóciwszy się ze swym towarzyszem, rozszedł się z nim w nieprzyjaźni. Nazajutrz ów drugi pies zjawił się z biszkoptem i ofiarował go swemu przeciwnikowi na zadatek pokoju.

Ktoby również uwierzył, że zwierzę zdolne jest wznieść się do takiej wielkoduszności i poświęcenia, o jakim wspomina doktor J. Franklin, w swoim „Życiu zwierząt.” Dwaj bohaterowie tej przygody z rassy terre-neuve i kundel, mieli zwyczaj gryźć się przy każdym spotkaniu. Pewnego dnia, gdy staczali żartawą walkę na wybrzeżu w Donaghadze, wpadli obaj do morza. Wybrzeże było długie i pochyłe. Nie mieli innego sposobu wyratowania się, tylko przepłynięcie w pław, lecz przestrzeń, którą musieli przebyć, była znaczna. Nowoziemiec, jako doskonały pływak, poradził sobie z łatwością i wy dostał się na brzeg. W tej samej jednak chwili, widząc wysiłki swego byłego nieprzyjaciela, który nie umiając pływać, zaczął już tonąć, rzuca się znów wspaniałomyślnie do morza, chwytając kundla za kark i trzymając mu głowę nad wodą, sprowadza go w dobrym stanie na brzeg. Po tym szczęśliwym ratunku nastąpiła wdzięczność prawdziwie wrzeszcząca. Psy te od owego zdarzenia nie gryzły się już nigdy i widziano je odąd zawsze razem.

Wreszcie cnota może dojść u zwierząt aż do poświęcenia życia.

„Na przeźroczyściej, gładkiej, jak lustro sadzawce — opowiada pan Houssay — pływają kaczki swobodnie, gdy nagle bezmyślny przechodzień zaczyna rzucać w nie kamieniami.

Ułamek trafia jedną z nich w głowę, ona traci w skutek tego przytomność i przewraca się. Towarzyski, które się rozpierzchnęły, powracają, niepomne na niebezpieczeństwo; otaczają ofiarę, popychają ją to łapką, to skrzydłem ze wzruszającą troskliwością, dopóki nie nabrała pewności ruchu.

Trzeba sobie wzajemnie dopomagać; jest to prawo natury.

...Na szarem niebie październikowem rysuje się daleki trójkąt. Przyglądając mu się uważnie, spostrzegamy, że małe punkciki, z których się składa, są żyjące, ruszają się. Ruchem jednostajnym i powolnym uderzają ocean mgieł małymi wiosłami, na podobieństwo wiosłarzy. Spiew ostry i nosowy towarzyszy im: to niezawodnie ich pieśń podróżna. Podczas, gdy się zbliżają, szanując zawsze swe prawo geometryczne, ich wiosła okazują się skrzydłami, poruszaniem przez ciało wydłużone, za którymi wloką się dwa wielkie, żółte szczydła.

Nic ciekawszego, nic bardziej typowego, jak ta żywa figura, symbol solidarności. Bo jeżeli ci podróżnicy umieszczają się jeden przy drugim w dwóch liniach, których przecięcie tworzy kąt ostry, to czynią to dlatego, by przecinać powietrze wspólnym pędem i zabezpieczyć się przeciw wspólnemu niebezpieczeństwu, które im w drodze zagrażać może. Stare otaczają i podtrzymują młode, a ponieważ pływający w punkcie najdalej wysuniętym przed siebie od innych, więc zastępują go w regularnych odstępach czasu. Ta mądra taktyka i to doskonałe porozumiewanie się, które pozwalają ptakom przelotnym przebiegać bez przeszkody setki mil, czyż nie powinny zastanowić społeczeństwa ludzkie, tak często rozprężone w skutek marnej niezgody!

Nie na tem jeszcze kończy się opieka publiczna u zwierząt. Zapewnia ona również pomoc topielcom i rannym.

Na czarnych skałach nadbrzeżnych, pokrytych białą pianą, naturalista Edward stoi na czatach. Z palcem na cynglu, z kolbą na ramieniu, oczekuje na jaskółki morskie. Jedna z nich frunąc gwałtownie i kapryśnie, dostaje się na cel. Strzelec szybko mierzy. Pocisk wypadł i z piórami okrwawionymi spada ptak do wody, czerwieni ją, lecz żyje jeszcze, szamoce się, by nie utonąć. Wtedy, nie bacząc na fuzję, której straszliwa lufa błyszczy ciągle w rękach zbrodniczych, dwie towarzyski ofiary zbliżają się, każda ujmuje ją za jedno skrzydło i unoszą w przestrzeń. W odległości sześciu lub siedmiu metrów dwie inne zastępują niosące. I w ten sposób, mieniając się, te dwie pary ptaków dostają się ze swoją ranną na niedostępną skałę.

Réaumur opowiada, że pszczołę, która straciła przytomność w skutek zbyt długiego zanurzenia się w miodzie, otoczyły towarzyski, które pęty ją lizały i pielęgnowały, dopóki nie odzyskała zmysłów.

Mrówki, widząc, że jedna z nich jest ranna, otaczają ją i pokrywają ślinami. Gdy udają się na wojnę, mają z sobą zawsze gwardyę ambulansową, która przebiega pole walki, zbierając rannych, umierających i poległych. Za punkt honoru uważają, by nigdy nie zostawiać trupa nieprzyjacielowi.

Organizacja i czynności pomocy publicznej nie zmniejszają praw do pomocy prywatnej. W r. 1767-ym znajdował się w pułku Beauvilliers'a stary koń wysłużony; zęby jego zużyte nie mogły już gryźć siana, ani miażdżyć owsa: mógł umrzeć z głodu, stojąc przed pełnym żłobem i dobrze zaopatrzoną w siano drabinką. Gdy dwaj towarzysze w stajni spostrzegli jego niedolę, jeden zajął się owsem, drugi zaś sianem, i żując swemi szczękami młodemi i jędrnymi pożywienie starego, nowicyusz karmili go w ten sposób przez dwa lata.

Blyth widział kruki indyjskie karmiące ślepego brata, a J. Lubbock mrówki, które pielęgnowały przez pięć miesięcy okaleczoną siostrę.

Milne-Edwards był świadkiem dramatu, w którym poświęcenie zwierzęce objawiło się w bardziej jeszcze wzruszający sposób. W klatce pomiędzy ptakami rozmaitych gatunków, znajdowały się dwie sikory. Pewnego dnia, jedna z nich rozpoczęła kłótnię z ptakiem o długim dziobie. Brutal prędko zakończył sprawę. Po kilku chwilach walki padła biedaczka, straciwszy trzy części swych piórek i ze skrzydłem złamanem. W tym stanie nie mogła wskoczyć na pręcik i biedowała na ziemi. Wówczas druga sikora zaczęła znosić co tylko mogła znaleźć miękkiego na usłanie czegoś w rodzaju łóżka dla rannej, potem zaś, ponieważ noc była chłodna, okryła swym skrzydłem nagie plecy towarzyski. I tak ją pielęgnowała przez cały tydzień.

Oddanie się sprawie publicznej. Zbiorowy heroizm.

Sumienie zwierzęce objawia się w jednostce, w rodzinie, w społeczeństwie. Czy to już koniec?

A może też objawia się, jak i u nas, nawet i w obywatelstwie? Czy zwierzęta są zdolne do moralności obywatelskiej? czy mają pojęcie o sprawach publicznych?

Przyjrzyjcie się tym małym a mądrym mrówkom, które suną w zwartych, gęstych szeregach ku zagłębieniu wielkiej, żółtej góry. Wtem strumień nafty wpada tam wraz z niemi! Bez popłochu, żywo i systematycznie organizują ratunek skarbow, które płyn już niszczy w skrytkach podziemnych. Lecz podczas, gdy one zajmują się ratowaniem dobytku, pochodnia wzniesła pożar w pałacu republiki i robi z niego w jednej chwili straszny piec, z którego bucha dym czarny, przecinany czerwonymi błyskawicami.

Pomimo wzmagającej się klęski, ani jedna z tych dzielnych pracownic nie uchyla się od wspólnego obowiązku, szukając ratunku dla siebie samej. Każda zabita mrówka znajduje zastępczynię i pochód odbywa się dalej wśród płomieni, gdzie wkrótce wiją się ciała zwęglone.

Widzimy więc, że poczucie dobrego i złego, sprawiedliwość, litość, cnota, duch ofiary, znajdują się, przynajmniej w stanie zarodku, w sumieniu stworzeń niższego gatunku. Czy się w tem nie znajdzie, nawet dla nas ludzi, pewna nauka?

P. Fouillée dowodzi w swej znakomitej pracy, że teorie cieszące się dzisiaj wielkim uznaniem, prowadzą życie całe ku egoizmowi, ku walce, ku brutalnemu współzawodnictwu. Gdyby te teorie wyrażały istotny stan rzeczy, i gdyby moralność siły była jedynie przyrodzoną, powinnaby przedewszystkiem znaleźć zastosowanie u zwierząt.

Nauka jednakże zaprzecza temu; odkrywa ona owszem u najskromniejszych nawet zwierząt pierwsze zarysy tego, co jest w człowieku moralnością. Jakże więc można utrzymywać, że moralność jest wymysłem dowolnym człowieka, jeśli teraz już oświeśla ona swojemi promieniami ciemną duszę zwierzęcia?

M. K.

Kronika działalności kobiecej.

— Pani Stefania Karpowiczowa otrzymała pozwolenie na otwarcie specjalnej szkoły dla kobiet masażu i gimnastyki, stosowanych w celach leczniczych. Będzie to u nas pierwsza szkoła w tym zakresie i wobec po-

szukiwań przez kobiety pracy w coraz nowych, niewyzyskanych dziedzinach, niewątpliwie znajdzie szerokie poparcie.

Ustawa szkoły, zatwierdzona przez ministerium spraw wewnętrznych, wprowadzona zostanie w życie z rozpoczęciem roku szkolnego w roku bieżącym.

— Francya. Pierwsza nagroda w Konserwatorium paryżkiem, *prix de Rome*, po raz pierwszy przyznana została kobiecie, panie Fleury.

W oddziale Akademii Sztuk Pięknych „Arts décoratifs“ (sztuki dekoracyjne) z 14-tu nagród, 5 otrzymały kobiety.

— Anglia. W Anglii spotykamy coraz więcej kobiet zajmujących stanowiska archiwistek i bibliotekarek. W wielkiem, publicznem archiwum londyńkiem „Chancery Lane“ zajętych jest kilkadziesiąt kobiet. Archiwum to zawiera tak olbrzymią moc dokumentów, dotyczących historii narodu angielskiego, że najpilniejszy badacz nie byłby w możności przejrzeć ich dziesiątej części, nawet w takim razie, gdyby dożył podeszłego wieku, a badaniom poświęcił całe życie. Uczeni, pragnący dla prac swoich korzystać ze skarbow, zawartych w tem ogromnem archiwum, z trudnością obeszliby się bez uzdolnionych pomocników. Ci wskazują im drogę do rozmaitych, poszczególnych działów i źródeł, w których najuczepszy, a nieobeznany z niemi człowiek, zatraca się w swych poszukiwaniach. Kobiety, jak o tem mówią sprawozdania, wykazały w tej pracy wiele uzdolnienia. Oprócz wrodzonej inteligencji i lotności umysłu, potrzeba tu nieodzownie posiadać niewyczerpaną cierpliwość, systematyczność i akuratność. Nadto, dobra archiwistka musi znać doskonale kilka obcych języków, łacinę, greczyznę i starą angielską pisownię. Przy często poruszanych kwestjach prawnych, archiwistka musi też obeznać się z prawem; wobec zaś spornych kwestyi, wychodzących po za granice państwa, musi umieć odszukiwać odnośne, obce dokumenty. Nierzadko się zdarza, że i przy układaniu drzew genealogicznych przywoływana bywa pomoc i znajomość rzeczy archiwistek z „Chancery Lane“, które nieraz w starych szpargałach archiwum znajdują dopełnienie braków, jakie przez różne koleje powstały w odwiecznych papierach rodzinnych, księgach kościelnych czy napisach na grobowcach i mauzoleach zaniedbanych i opuszczonych. Dla dzieł historycznych archiwistka winna dostarczyć materiału dokumentowy, przy sporach granicznych, prawie łowienia ryb i t. p., musi nieraz dawno zapomnianej przeszłości.

— Pod nazwą „International Society of Lady Couriers“ (Międzynarodowe Towarzystwo pań kuryerów), zawiązało się w Londynie stowarzyszenie, złożone z Angielek i z cudzoziemek, które się podejmują oprowadzania obcych po Londynie i zapoznawania ich z osobliwościami wielkiego miasta. Cudzoziemiec zamawiający „cyceronkę“ wybrać może język niemiecki, francuzki lub angielski. Żadne może z większych miast nie potrzebują tak dalece takiego urzędzenia, jak Londyn, ponieważ Anglicy w ogóle nie znają żadnych obcych języków, obcy zaś przybywszy w Londynie, nie umiejący po angielsku, w nielada znajduje się kłopot. Po wielokrotnem sprawdzaniu okazało się, że kobiety „cyceronki“ nierównie lepiej obeznane są z podjętym przez siebie zawodem, aniżeli mężczyźni, i że lepiej umieją czas wyzyskać. Wynagrodzenie, wynoszące 10 szylingów dziennie, jest umiarkowane. Biuro „International Society of Lady Couriers“ znajduje się przy Charing Cross 4. Tam należy ustnie lub przez telefon, albo telegraficznie zamówić „cyceronkę“ w przeddzień jej zapotrzebowania.

Z. S.

Znany powszechnie

Magazyn Mód p. f. K. ŚWIDERSKA

z dniem 8 Lipca r. b. przeniesiony został z ul. Marszałkowskiej Nr. 131 na ulicę

Chmielną № 10.

Podaje się do publicznej wiadomości, że z dniem 15 września r. b. rozpoczynają się

w Zakładzie Gospodarczym Hr. C. Plater-Zyberkówny w Chyliczkach

Kursy zajęć ogrodniczych,

ze współudziałem profesora E. Jankowskiego — w dziale teorii ogrodnictwa, oraz panów Al. Girdwoyna — w dziale pomologii, Piotra Hosera — w dziale kwaciarskim, St. Brzozowskiego — w dziale warzywnictwa.

Wykwalifikowana ogrodniczka-pszczelarka będzie kierowała na miejscu robotą praktykantek, które będą wykonywały same wszelkie prace na dużym i do tego odpowiednio urządzonej ogrodzie zakładu.

Wpisy na ten kurs rozpoczynają się bezzwłocznie w kancelarii Zakładu Chyliczkowskiego. Komunikacja pięć razy dziennie kolejąką Grójecką. Stacja Piaszczno.

Blizszych informacji udziela tenże Zakład.

PENSJA ŻEŃSKA z klasą wstępną

ANTONINY WALICKIEJ

w Warszawie, Krucza № 44.

Zapis uczenie do 25 czerwca, a po wakacjach od 15 sierpnia od 3-iej do 4-iej w dnie powszednie. Egzamin w 1 września. Lekcje rozpoczną się 2 września.

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcji Damskiej

L. GAŁKOWSKIEGO

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole i wyroby trykotowe francuskie. Najlepszy krój koszul męskich.

CIECHOCINEK. Pensjonat Zachęta

posiada 73 pokoje urządzone wygodnie kuchnia wyborowa opieka dla chorych i młodzieży ceny wobec rozmaitej wielkości pokoi, dostępne dla wszystkich.

Adres Zachęta. Kuczalska.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
GRETILLAT
Ś-to Krzyżka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
PAULINY BURCHARDT

Warszawa, Marszałkowska 125.

Poleca Nauczycielki, Bony.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
JAHŁKOWSKIEJ

Warszawa, Marszałkowska 118

poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

W numerze 21 „Bluszczu“ p. t. „Do naszych Czytelniczek“ było ogłoszone

O wzorach dziurkowanych do haftu,

które każda z Czytelniczek naszych może posiadać zeszyt składający się z 7-iu arkuszy i zawierający dziurkowane desenie wszystkich liter alfabetu, kilka odmian kwiatów i motyli stylizowanych, ząbki i ozdoby brzegów, całe desenie na małe serwetki, ramki stosowne na podarki i t. d. Cenę zeszytu wraz z proszkiem w dwóch kolorach (czarny na materiały jasne i jasny — na ciemne) oznaczyliśmy na kop. 50 wraz z przesyłką pocztową, (wykluczając zaliczenia pocztowe, za które pobieramy 10 kop. więcej).

Niezależnie od zeszytów, które mamy na składzie i od cen takowych, przyjmujemy również zamówienia na które dostarczyć możemy w krótkim czasie wszelkich żądanych wzorów dziurkowanych na pasy na stół, serwetki, poduszki na kanapy, kołnierze, wyłogi, mankiety, całe suknie, monogramy, roboty point-lace i t. p. Do zamówienia dołączać należy wielkość żadanego deseni w centymetrach, jeżeli zaś idzie o suknie, lub o jej części składowe, prosimy o przysłanie formy papierowej, oraz dokładnego opisu rodzaju ozdoby i stylu (zakopiański, arabski, grecki, rococo, renaissance, gotyk, chińszczyzna, japońszczyzna na secesya i t. d., lub fantazy).

Z p. Kamińskim, który komponuje desenia dziurkowane i daje ceny zamawianych wzorów, mogą nasze czytelniczki widzieć się w Poniedziałki, Środy i Czwartki od godz. 6 do 7 wieczorem.

Po rb. 10, 25, 30, 45 do
200 rub.

Polecamy:

Serwisy stołowe na 12 osób kolorowe i ręcznie malowane są gotowe na składzie fajansowe, granitowe i porcelanowe składające się od 71 do 122 kompletów.

Szkoło stołowe krajowe jako też i zagraniczne: Baccarat, Czeskie i t. p. duży wybór od 9 rubli do 175 r. na 12 osób.

Garnitury na umywalnie granitowe angielskie od 5 rubli; do herbaty i kawy malowane na 12 osób od 5 do 50 rubli.

Garnitury toaletowe w dużym wyborze.

Donice do kwiatów od 25 k. za sztukę. Talerze fajansowe stołowe mocne I s. od 1 rb. kolorowe po 1.25 k. za tuzin.

Naczynia higieniczne, kuchenne, kamienne.

Szklanki do herbaty od 50 kop. tuzin. Wazony, żardiniery, figury, biusty, patery, kandelabry, popielniczki. Galanterijne przedmioty w wielkim wyborze. Ceny przystępne.

Malarnia własna przyjmuje zamówienia na herby i monogramy na porcelanie i szkło.

ADRES:
Mazowiecka 8.

F. Pierzchalski

„Nowość z sitkiem“

SUDORYN

Ap. Kowalskiego



w blaszankach z sitkiem po 30, 50 i 90 k. Żądać wszędzie. Strzedz się naśladownictwa!

POT, woń potu USUWA, zapobiega odparzeniu nóg, niszczeniu odzieży, obuwia. Za świetny skutek i nieszkodliwość Sud. ręczy Skład główny: Apteka Ap. Kowalskiego w Warszawie, Graniczna 10, bez zadatku przesyłając 2 blaszanki, za 30 i 50 k., za zalicz. 111 k. Mnóstwo świadectw i podziękowań. Sprzedawcom wysyła się rabaty, sposób taniej przesyłki, plakaty.

Szkoła artystyczna dla Kobiet

„A. CONTI“
przeniesiona na ul. Wielką № 23,
róg Wspólnej.

Rysunki i Malarstwo, Rzeźba. Sztuka stosowana. Rys. techniczne. Kurs dla dzieci. Kursy rysunków wieczornych i niedzielnych. Zajęcia od g. 10—2 i od 5—7. Kierownicy artyści: A. Austen, M. Gerson-Dąbrowska, K. Jankowski, A. Jasiński, L. Lempicka, B. Maruszewski, M. Trzebiński i Wł. de Turquier. Zapisy od 25 Sierpnia. Początek zajęć od 15 Września. Wszelkie wyjaśnienia i programy wysyła się na żądanie.

KRYNICA

Dom pod Wawelem

naprzeciw łazienek borowinowych i mineralnych na wzgórzu. Pokoje z całodziennym utrzymaniem. Żeleszkiewicz i Kaczkowska.

Kursy froeblovskie ze sloidem

dla bon i wychowawczyń

Wspólna 20.

Pensjonat. Pó ukończeniu świadectwo, posady, lekye. Zapis od 25 sierpnia.

Najlepszy Przyjaciel Żołądka



VIN

Saint-Raphaël

poleca się jako:
toniczne, wzmacniające
i pomagające trawieniu.

Broszura D-ra de BARRE
o winie St.-Raphaël,
jako o pożywnym,
wzmacniającym środku

Wysyła się na żądanie.

SMAK JEGO WYŚMIENITY.

Compagnie du vin St.-Raphaël
Valence, Drome,
France.

Ostrzega się przeciw podrabianiu.

Najtańsze

bo najhygieniczniejsze

Naczynia z czystego niklu,

fabryki A. Kruppa w Berndorfie (Austria)

z ustępstwem od cen fabrycznych, poleca,

Skład naczyń kuchennych

Edwarda Dusoge

w Warszawie,

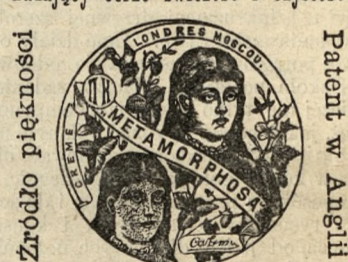
Nowy-Świat № 5.

Cenniki gratis.

Telefon № 2515.

Najlepszy środek kosmetyczny

nadający cerze świeżość i czystość



Crème CAZIMI

Metamorphosa

przeciwko PIEGOM.

Dowodem autentyczności środka
przeciw piegom jest podpis

i dołączony do każdego słoika rysunek
„ŹRÓDŁO PIĘKNOŚCI.“

Bez podpisu

i rysunku zatwierdzonego przez Depart. Hadlu i Manuf. za Nr. 4683—
FALSYFIKAT.

Do nabycia we wszystkich składach mater. aptecz., perfumer. i aptekach.

JADWIGI BOROWSKIEJ

dawniej JAHŁKOWSKIEJ

Wydawca: Piotr Laskauer.— Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Іюня 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41